Nr. 5. Lwów, Niedziela dnia 31. stycznia 1875 r. **Rok II.**



TOM I.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 złr., półrocznie 6 złr. kwartalnie 3 złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Wydawcy: A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 srg. kwartalnie 2 tal. 10 sgr.

LUŹNE UWAGI.

V.

O SZERZENIU OŚWIATY POMIĘDZY LUDEM.

IV. Gdy już mówimy o szerzeniu oświaty za pomocą żywego słowa, nie wypada nam pominąć kilku słów, należnych teatrowi. Teatr, przedstawiający myśl każdą plastycznie, a więc wyraźnie, mógłby ważne w oświacie ludowej zająć stanowisko, gdyby się udało wytworzyć liczne, po kraju rozsiane teatra amatorskie. Rzecz ta w dalekiem u nas polu i prawie za niewykonalną uważaną być może, gdy się rozważy stosunki wiejskiej naszej inteligencji. W Czechach używano teatrów wiejskich amatorskich, z wielkiem dla zamierzonego celu powodzeniem. Inteligencja urządzaćby mogła po kilka razy do roku teatrzyki amatorskie w oranżerjach, w werandach, nawet w stodołach. Nie trzeba wcale zapraszać, ani namawiać ludu do przypatrywania się. Z początku służba dworska ciekawością zdjęta, przypatrywać się będzie, jak też pan, pani, lub panicz i panna wyglądają przebrani, potem od służby pójdzie mimochodem zachęta na wieś i ze wsi ściągać się zaczną, początkowo z obawą—następnie śmielej, liczni widze. Takie teatrzyki urządzaćby można na cel dobroczynny n. p. na śpichlerz gromadzki, na szkółkę, na ubogich we wsi itd. Lud brałby udział, a nawet kupowałby miejsca z czasem z ochotą, a myśl poczciwa, wzniosła, plastycznie przedstawiona, utkwiłaby łatwo w pamięci i sercu widza. Wiemy przecież sami, jak silne na nas teatr wywiera wrażenie; nie sądźmy, aby chłop miał inaczej zbudowane serce, inaczej mózg ułożony. Dusza jego taż sama, a różnica w stopniu oświaty, w zakresie pojęć i wyobrażeń. Dajmyż ludowi sztuki do zakresu tych jego pojęć i wyobrażeń stosowne, a z równą siłą działać będą na niego, jak na nas obłąkana Ofelja, naiwna Małgorzatka i przerażająca Balladyna.

Dobrej woli, chęci i wiary, a stałej wytrwałości! Można nawet przy dzisiejszych stosunkach na wsi, wiele zdziałać na tem polu, na które zwróciliśmy uwagę czytelnika.

Nie nadmieniłem nic o kapłaństwie, dla którego przedstawia się szeroki zakres działania żywem słowem z kazalnicy, w konfesjonale i przy każdej innej sposobności. Uważałem za zbyteczne mówić o tem, gdyż samo przez się wypływa z obowiązku kapłańskiego, korzystać ze wszelkich sposobności w tym względzie, jakie mu stanowisko jego nasuwa.

Przeszłoby to zadanie „luźnych pogadanek,“ gdybyśmy się ubiegali o dokładne, wyczerpujące wykazanie sposobów praktycznego szerzenia oświaty. Ograniczymy się na poddaniu uwadze czytelnika kilku łatwych do spełnienia sposobów.

Jak to gniewa mieszkańca w mieście, a jeszcze więcej przybyłego do miasta obywatela ziemskiego, jeżeli w kawiarni, lub restauracji nie znajdzie pisma, które przeczytać pragnął. Właściciele lokalów tego rodzaju, ubiegają się za tem, aby prenumerować jak największą liczbę pism krajowych. Karczma we wsi, zastępuje ludowi miejską kawiarnię, kasyno itp.

Wprawdzie mało takich miejscowości w naszym kraju, w którychby lud domagał się od właściciela karczmy, jakiegoś pisma, bo lud nie rozumie, że ma prawo nietylko wódki w karczmie zażądać, ale i czegoś pożyteczniejszego; jednak od nas zależy, aby mu to prawo wyjaśnić. Najlepszem wyjaśnieniem będzie, aby w każdej karczmie znachodziła się ludowa gazetka. Właściciele dóbr ziemskich, będący zarazem właścicielami propinacji, a więc karczem, mogliby i powinni nawet koniecznie za warunek kontraktu postawić arendarzom swoim, aby pismo ludowe prenumerowali dla użytku gości do karczmy zaglądających. Będzie to zręczne poddanie ludowi pisma w rękę, bez namawiania go do czytania, a zarazem spełnienie obowiązku, na właścicielach dóbr istotnie ciążącego.

Chłop może z początku i nie popatrzy na gazetę w karczmie, ale trafi się przecież czasem bodaj jeden, który umiejąc czytać, ciekawością zdjęty zaglądnie do pisma, zaciekawi się jakim ustępem i wczyta się w całe pismo. Z pewnością będą go inni pytać o to, co wyczytał, a nawet chętnie posłuchają, gdy im czytać będzie. Pisma ludowe, są zwykle nader tanie, więc cztery lub pięć guldenów wydanych rocznie, nie mogą zbytecznie obciążyć budżetu propinacyjnych dochodów. Korzyść z tego byłaby ogromna, a szlachta polska, która była niegdyś opiekunem ludu, powinna być dzisiaj jego przewodnikiem, przyjacielem, gdyż żywioły destrukcyjne, mogą się wcisnąć pomiędzy ciemne tłumy i przypomnieć nam krew i łunę pożarów 1846 roku. We wszystkich językach znachodzi się przysłowie, że przyzwyczajenie staje się drugą naturą człowieka. Zanim chłop się do gazety w karczmie przyzwyczai, musi się z nią naprzód oswoić. Potrwa to niedługo, może rok, a gdyby nawet dwa lata. Cierpliwości! w trzecim roku, będzie już nie tylko oswojony, ale i przyzwyczajony. A że takie przyzwyczajenie byłoby arcy zbawienne dla oświaty, że szerzyłoby zamiłowanie do czytania i odwodziło od niejednego złego, dowodzić nie potrzeba.

SERCE I RĘKA.

POWIEŚĆ PRAWIE HISTORYCZNA

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Wszystko się tedy ułożyło jak najszczęśliwiej, najpomyślniej i szambelan mógł pomyśleć o wyjeździe do domu.

Czuły ojciec tylko przedłużył swój pobyt aby w ostatnich dniach powtórzyć przestrogi i rady, które dla większego bezpieczeństwa na pismie zostawił. Szepnął też słówko o Redkem, że mu użytecznym być może.

— Jest to sobie łajdaczyna, rzekł, ale się i takiemi w pewnych razach posłużyć można.... W gruncie nawet nie zły człowiek, ale — co chcesz... zwalało się to jak wiele innych....

Po najserdeczniejszych uściskach... szam-

belan wreszcie — wyruszył. Zygmunt został sam, a że mu ten hotel niemiłe wznawiał wspomnienia, za poradą majora przeniósł się na pensję jakąś w które Genewa obfituje....

Towarzystwo w niej było wielce urozmaicone i składało się ze wszystkich narodowości koczujących po Europie.... Zygmunt więc mógł tu znaleźć rozrywkę i znajomości do wyboru.... chociaż wcale do zabierania ich zrazu usposobionym nie był....

Major tymczasem zajął się poszukiwaniami. Nie był on orłem i nie miał nadzwyczajnych zdolności na detectora lecz gdy szło o zarobek władze się zaostrzały, stawał się prawie przebiegłym i dowcipnym. Tu mógł się spodziewać premji wcale pięknej. Szambelan niewyraźnie wprawdzie, ale mówił coś jakby o stu luidorach....

Redke więc cały się poświęcił dochodzeniu. Wiedział już że mieszkali w Villa Serena i od tego punktu wyjścia rozpoczął... Zrazu nic się tu nie mógł od zgryźliwej gospodyni dowiedzieć, lecz trafem spotkał się z człowiekiem który tłumoki i rzeczy wywoził. Ten zapewnił go, iż siedli na statek parowy....

Wiedząc dzień w którym się to stało, major doszedł łatwo jaki parowiec naówczas mógł przybić do brzegu w bliskości.... Zwał on się Leman, a kapitanem był niejaki Schutzli, którego Redke niekiedy widywał.... Starał się spotkać z nim.... Historja zbyt przedawnioną nie była.... Na zapytanie majora przy kieliszku koniaku, kapitan Schutzli ruszył ramionami.

— Gdzież chcesz pan, żebym ja pasażerów pamiętał? Tylu ich codzień się przewinie! to niepodobieństwo....

— Ale może coś przypadkiem sobie przypomnicie?

Po długich a długich mordowaniach, kapitan jak przez sen, zdawał się sobie nareszcie przypominać, że go uderzyły siwe długie włosy młodego jeszcze człowieka, który wraz z bardzo piękną damą, wyglądającą arystokratycznie — wysiadł..... wysiadł..... Otóż, gdzie mianowicie, Schutzli na żaden sposób zaręczyć nie mógł — ale był pewien tego, że niedaleko bardzo odpłynąwszy, wylądowali na brzegu jeziora. Tu czekał na nich powóz, do bagażów byli ludzie i pociągnęli do którejś willi zapewne niezbyt oddalonej, co wskazywał sam sposób podróżowania.

Wskazówka była tak mało mówiącą że Redke czuprynę sobie starł z desperacji. Nie pozostawało mu nic więcej nad to, by siąść na statek z kapitanem, i mniej więcej w oznaczonem miejscu wylądowawszy tułać się pukając do wszystkich wrót, pod pozorami różnemi. Siwe włosy Fratellego były mu jedyną pomocą... bo każdego uderzyć musiały....

O wszystkich swych zachodach nie mówiąc ani słowa Zygmuntowi, który czas spędzał z książką w ogrodzie, na ziewaniu lub urywanych rozmowach z innymi pensjonarzami i zdawał się zrezygnowanym na to życie ostrygi.... Redke latał po całych dniach, ale daremnie. Zyskał tyle iż punkt wylądowania Schutzli czy dla pozbycia go się, czy rzeczywiście sobie przypomniawszy — oznaczył. W okolicy było tyle znowu bliższych willi, a major w swych wycieczkach tyle doznawał nieprzyjemności od ich mieszkańców, że chwilami do rozpaczy go to przyprowadzało.... Czas upływał, raporta do szambelana szły regularnie.... Zygmunt się okrutnie nudził. Do doktorowej chodzić nie chciał, rozmowy go nie bawiły, książki długo utrzymać w ręku nie mógł, przejażdżki po jeziorze nie miały celu, wyczekiwanie śmieszne przeciągało się.... Przebąkiwał już o wyjeździe.... Sam nawet nie wiedział co jeszcze z sobą zrobi, lecz pozostać tak dłużej nie mógł. Pokazać się w kraju było prawie niepodobieństwem, męczyć się na tej pensji groziło spleenem... trzeba było albo rezolutnie w łeb sobie wypalić lub zmienić przynajmniej pozycję i na drugi bok się obrócić.

Gdy się to działo w Genewie, Radczyni spieszyła do Zabrzezia. Niespokojna bardzo przybyła tu nie śmiejąc ust przed mężem otworzyć a badając wprzódy czy czasem się już o czem nie dowiedział. Radzca rzeczywiście nie słyszał nic, dziwił się tylko że od tak dawna listu od córki nie miał. Żona stworzyła całą powieść o lekkiej słabości Olimpji i o jej zupełnem ozdrowieniu, a co się tyczyło szczęścia domowego nowozaślubionych, miała jak najlepsze nadzieje. Nie zapewniała, że już jest wszystko jakby być powinno, ale na najpiękniejszej drodze do porozumienia.

— Zygmunt ma wiele taktu. Olimpja jak wiesz, przywiązania do niego nie miała; poszła za niego przez rozum i posłuszeństwo, — lecz godzi się coraz lepiej ze swym losem.... Trzeba to zostawić czasowi....

Radzca był i tem bardzo zadowolony. Badając sąsiedztwo, matka przekonała się, iż tu szczęściem żadna jeszcze plotka nie doszła, nie wiedziano nic a nic.... Szambelan dla niepoznaki i odwrócenia pogłosek i domysłów, powróciwszy zajmował się niby bardzo czynnie urządzeniem domu w majątku przeznaczonym dla państwa Zygmuntowstwa. Wielki więc ten cios, który spadł na rodzinę — w części przynajmniej odwróconym był — bo rozgłosu jeszcze nie miał. Zapobiegając zatem pytaniom matka i szambelan zgodnie powtarzali że dla zdrowia Olimpji klimat włoski był potrzebnym i że zapewne z rok jaki za granicą zabawić będą musieli....

Szambelan jako człek wielce przezorny zawczasu się troszczył o to co pocznie — gdy nadzwyczajnem jakiem szczęściem zbiegowie odkryci zostaną. Zawczesne te projekta i plany okazały się usprawiedliwionemi, gdyż w kilka tygodni, odebrał list rekomendowany od majora Redke donoszący, iż miejsce schronienia zbiegów odkrył, że czuwać będzie nad niemi, i że oczekuje rozkazów jak ma sobie postąpić. Uszczęśliwiony ale razem zaniepokojony tem co mu począć wypada, szambelan odtelegrafował, aby pilnować tylko i czekać na jego przybycie, a Zygmuntowi nie mówić nic....

W godzin parę był już gotów do drogi, lecz podróż skierował na Zabrzezie dla narady z matką. W istocie nie wiedział dobrze, co pocznie.. . Los jakby na szyderstwo dawał mu to, czego sobie życzył a biedny szambelan musiał się przyznać w duszy iż nie miał pojęcia jak mu postąpić należało. Tarł siwą czuprynę i całą drogę rzucał się z jednej w drugą stronę powozu powtarzając sobie:

— I tak źle i tak nie dobrze!

Po fizjognomji wywróconej dziwnie matka na pierwsze wejrzenie, spotykając go w salonie, domyśliła, się że przyjeżdżał z czemś ważniejszem niż zwykle. Radzcy chwilowo w domu nie było.... Natychmiast wyprowadziła go do gabinetu....

Stary ledwo mógł mówić.

— Pani dobrodziejko — odkryto — odkryto ich schronienie — co tu począć?!

Matka zbladła i zadrżała... spojrzała oczyma obłąkanemi.... pierwsza myśl która ją w serce uderzyła — był żal nieszczęśliwej córki — potem obawa aby pochwycona nie dopuściła się jakiej ostateczności z rozpaczy. Wiadomość ta zamiast ucieszyć ją, uczyniła prawie nieszczęśliwą. Szambelan stał osowiały.... Nie miał odwagi przyznać się do tego, co myślał. On gotów był po prostu kazać zabić Bratanka... a gdyby z rozpaczy zmarła Olimpja, byłby poszedł w gwieździe i z kluczem za pogrzebem — i pocieszyłby się łacno.... Ale jakże było przyznać się przed matką? Ta płakała nie mówiąc słowa. Chciała jechać sama — lecz cóż ona tam poradzić mogła?

— Co tu począć?

— A Zygmunt?... spytała matka.

— O niczem nie wie, oszczędziłem go.., sam gotówem jechać....

— Jeśli waćpan pojedziesz — to ja także — ja także, ja muszę tam być dla córki, obawiam się o nią....

— Cóż pani powie panu Radzcy?

— Żeś pan od syna miał list uskarżający się na zły stan jej zdrowia.... Jako matka wyproszę się, by do niej pojechać.

Szambelan kombinował, że matka tam rychlej mu będzie zawadą niż pomocą... zmilczał....

Dobre pół godziny trwała rozmowa nic nie znacząca, przerywana, świadcząca tylko, że to co się zdawało wypadkiem bardzo szczęśliwym, stawało się zadaniem nie do rozwiązania.... Zostawiony sam sobie szambelan byłby się pewnie uciekł do ostatecznych środków, lecz znając już Olimpję, obawiał się jej rozpaczy — rachował więcej na wpływ rodziców, bo ten mógł Zygmuntowi przywrócić żonę i sklecić małżeństwo— a o to szło mu głównie. Już jakie by ono potem było — szczęśliwe czy nie — dla niego podrzędnem się stawało.

W ciągu rozmowy tej z matką, dał się słyszeć turkot powozu — radzca przybywał.... Z nim razem zuchwała myśl zawitała do głowy szambelanowi... z której się spowiadać nie chciał, ale go ona uderzyła tak, że jak niespodzianem światłem olśniony — nagle się uspokoił. Potrzebował tylko małego jeszcze namysłu i nie mówiąc nic matce — postanowił działać wedle tego natchnienia....

— Trzeba w nadzwyczajnych razach, mieć odwagę rzeczy nadzwyczajnych, rzekł w duchu....

Radczyni ani go mogła posądzić o to, co knuł.... Radzca wszedł w jak najlepszym

humorze, wesół, spokojny, nie domyślając się, co go tu spotkać miało. Zmieniona twarz żony, obudziła jego troskliwość, popatrzał na szambelana wyglądającego jakby spadł z dachu.... i zaczął się rozpytywać — czy nie było z Włoch jakich wiadomości....

— Olimpka mi trochę nie zdrowa — odezwała się matka — nie ma to tam nic, ale Zygmunt pisze, że znowu słabą była....

Biedny ojciec zafrasował się.... Szambelan milczał, zapytany ruszył tylko ramionami, smutny chodził i nie odzywał się wcale.

Godzina była wieczorna — a cała dnia reszta zeszła na obradach, czyliby matce nie trzeba było jesze raz pojechać.... Ojciec nic a nic nie miał przeciw temu. Szambelan zachowywał się nad podziw biernie i chłodno.... Z zafrasowanej postawa jego i mina zaczynała się pod noc coraz stawać jakąś uroczystszą i poważniejszą..., Niemal do północy tak dosiedziawszy, odkładając postanowienie do jutra, pożegnali się w końcu. Radczyni odeszła do swych pokojów, ojciec miał także iść do siebie, gdy szambelan nagle, obejrzawszy się w koło, napuszonym tonem odezwał się do Radzcy.

— Chociaż pora spóźniona — ale zmuszony jestem prosić pana radzcy o poufną rozmowę na osobności. Sprawa jest wielkiej wagi — nie cierpiąca zwłoki.

Ton ten uroczysty przeraził radzcę, pochwycił za rękę szambelana.

— Na miłość Bożą! mów! nic się nie stało Olimpji? żyje?

— Żyje — szepnął szambelan, ale są okoliczności o których musimy pomówić, Radbym był panu do ostatka oszczędzić niepokoju i frasunku — niestety — dziś — nieodzownem jest rozmówienie się szczere i otwarte.

Zaniepokojony do najwyższego stopnia radzca pobiegł raczej niż poszedł do swego pokoju i natychmiast drzwi zamknął na klucz....

— Mów pan — odezwał się głosem drżącym — ale proszę cię — bez ogródki, bez osłon, bez przygotowań — mów!!

Szambelan drżał. Czuł, że brał na siebie odpowiedzialność ogromną, w łono spokojnego człowieka, ojca, miotając żagiew która płomień rozniecić miała — kość była rzucona.

— Boli mnie że panu jako ojcu boleść zadać muszę. Uzbrój się pan... to co wyznam, nad wyraz przykrem mu będzie, ale od pana jednego zależy ratunek.... Pańska córka w osiemnastym roku życia, w czasie pobytu z matką w Dreźnie została wykradzioną.... Tajono to przed nim.... odebrano ją po kilku tygodniach pożycia....

Szambelan nie dokończył tych wyrazów, bo radzca rzucił się nań rycząc prawie jak wściekły i chwycił go za kołnierz od surduta....

— Kłamiesz, oszczerco! to fałsz....

Szambelan blady przetrwał tę burzę....

— Przekonasz się pan, że mówię prawdę.... Było to powodem że córka pańska za mąż wyjść nigdy nie chciała.... Wiedzieliśmy o tej awanturze, gdy syn mój starać się począł, i nie odstręczyło to nas, bośmy mieli nadzieję, że ta nieszczęśliwa przeszłość zapomnianą zostanie....

— Olimpja! ona! dziecko moje! łkając powtarzał radzca — a! nie, to niegodziwa potwarz....

— Panie radzco, dodał skracając szambelan, najlepszym dowodem że mówię prawdę jest to, iż synowa moja spotkawszy pierwszego swego uwodziciela w Genewie, opuściła męża i powtórnie z nim zbiegła....

Radzca zatrząsł się cały i zasłaniając sobie oczy upadł na fotel.... Płakał... płakał długo.... Szambelan milczał i czekał....

— Chcieliśmy do ostatniej chwili oszczędzić panu boleści.... Stało się to — począł po długim przestanku — stało się to od dawna, zaraz po ślubie.... milczeliśmy. Zygmunt chorował śmiertelnie.... Byłbym może milczał jeszcze... lecz... udało mi się odkryć schronienie zbiegłych.... w panu jednym nadzieja — iż do córki przemówić potrafisz zwracając ją na drogę obwiązku....

Usłyszawszy te wyrazy radzca, jak gdyby oprzytomniał, odetchnął, potoczył wzrokiem do koła, chwycił się za piersi i wstał zwolna z krzesła.

— Gdzie są? spytał sucho szambelana na którego z ukosa spojrzał z dziwną jakby pogardą.

— W Szwajcarji — ja jeden mam wiadomość o ich schronieniu, bo je odkryłem.

— I to wszystko jest prawdą? to nie sen? to nie wymysł? to nie potwarz? to więc jest prawda?

— Na nieszczęście! westchnął szambelan, spoglądając na radzcę, którego twarz zazwyczaj spokojna stała się tak groźną, tak dumną, iż go przeraziła.

Piorun który uderzył w tego człowieka, na chwilę tylko go obalił widać było że już się podniósł, zebrał myśli i szukał drogi sumienia i obowiązku....

Zwrócił się ku szambelanowi....

— Zostaw mnie pan samym, rzekł — jutro — jutro — pomówimy. Potrzebuję myśli zebrać — i ukoić żal — proszę was....

Zrazu chciał jeszcze pan szambelan coś przemówić, lecz wprędce poznał że radzca milczeniem go zbędzie.... Starzec z załamanemi rękami stał już u obrazu Chrystusa ukrzyżowanego, wiszącego przy łóżku i w milczeniu czerpał siłę z widoku boskiej męczarni.... Łzy płynęły po męskiej twarzy...

— Moje dziecko! dziecko moje! powtarzał nieprzytomny....

Szambelan wynosił się nieco zmięszany— nie był pewnym, czy nie zrobił wielkiej niedorzeczności. Radzca wzrokiem okropnym go zmierzył.

W chwilę po wyjściu cichem tego gościa, radzca wziął świecę w drżącą rękę i zwolna ale pewnym krokiem skierował się do pokojów żony. Radczyni wzdrygnęła się ze strachu, usłyszawszy pukanie a ujrzawszy męża, który blady jak trup ukazał się w progu, omdlała.... Zrozumiała to że przyszedł sędzia... pytać ją o powierzone jej dziecię.

Sędzia surowy był, ale już uspokojony rezygnacją chrześcjanina. Wiedział że przeszłość niepowrotna a wyrzucanie grzechu matce która nań całe życie przebolała, byłoby daremnem okrucieństwem. Gdy przyszła do siebie po omdleniu rzucając mu się do nóg, radzca rozpłakał się i podniósł ją.

— Wiem wszystko — rzekł — dziecię ratować musimy. Zostaw mnie to staranie, jedziemy jutro z — tamtym.

Jakby mu nazwisko szambelana sprawiało obrzydzenie, wymówić się je wzdragał.

— On ci to powiedział?... spytała matka.

— A któżby inny, rzekł cicho ojciec. Chciałaś ich — weszli do tego domu.... Miałem wstręt do obu, przełamałem go, sądząc iż może dziecku mojemu szczęście przyniosą — oni mi tylko śmierć przynieśli. Tak— śmierć.

Krokiem wielkim począł się przechadzać po pokoju.

— Ostatnia to karta historji rodziny czystej, cnót patrjarchalnych,—matron świątobliwych, mężów rycerskich... ostatnia karta zwalana błotem... któż wie—i krwią może!! Na mojej trumnie nikt nie roztrzaska tarczy herbowej, sama się ona spękała od sromu... Wszystko stracone... wszystko.... Bóg widzi, świat wie — ludzie się szydersko rozśmieją... Srodze los nas dotknął... srodze....

Nagle zwrócił się do żony.

— I ci? i ci — dodał — ci wiedzieli o tem, że biorą nieszczęśliwą bez serca i mimo jej woli, a szli i cisnęli się... podli! podli! A tyś milczała lat tyle i nie mówiła mi nic....

— Ocaliłam ci lat kilka spokoju?

— Tak—lecz jabym był może dziecię od sromu ocalił!

Załamał ręce.

— Ludzie! co, powiedzą ludzie którzy nam zazdrościli błogosławieństwa bożego.... O! plagi Hioba za nic — przy mojej. Jedyne dziecię.... Olimpka moja....

Płakał biedny znowu, zasłaniając sobie oczy; żona na kolanach przysunęła się ku niemu i przejęta a wzruszona łkała.

— Przebacz mi! przebacz!

— A! nie wyrzucam ci nic, odezwał się powolnie. Bogu się podobało upokorzyć— Bóg chyba poratuje.... Jutro jadę — ty zostań.... (C. d. n.)

PRZYCZYNKI
do
ZNAJOMOŚCI TATR.

Podał

Dr. E. Janota.

(Ciąg dalszy.)

Jeszcze około r. 1830 w wielu miejscach Tatr nowotarskich były kozice. Rohacze (już poza granicami Galicji, ale prawie w ich narożniku między Orawą a Liptowem), turnie otaczające dolinę kościeliską, Giewont, turnie nad doliną Kasprową, a zgoła już Świnnica, Kozi Wierch, Granaty, Wołoszyn i dalsze turnie ponad Morskiem Okiem są według wyrażenia się samych górali jakby ogrodami dla kozic. Atoli w żadnym ogrodzie nie śmie kozieł być ogrodnikiem, jak wilk nie może być owczarzem. A kozły i capy, jak wiadomo, uparte są stworzenia, wilki zaś drapieżne. Więc co jeno u podnóża Tatr na całej ich przestrzeni północnej, której największa część przypada na Nowotarszczyznę, umiało i umie obchodzić się z strzelbą, a co nie umie, to się szybko tego uczy, polowało i poluje na

*

kozice, już to z własnego natchnienia, już też z polecenia cudzego, tak na własną rękę i dla wspomożenia własnej kieszeni, jako też z tytułu służbowego i poddańczego stosunku. Polowano w porę i nie w porę, strzelano capy i kotne samice, stare i młode, nawet matki w chwili porodu. Nieraz używano kozic jako mazi i smarowidła w rozmaitych dolegliwościach ludzkich, służyły nawet celom nabożnym, sam przynajmniej widziałem kozicę zamówioną u jednego z kłusowników zakopiańskich przez byłego nauczyciela przy hutach tamecznych A., ubitą gdzieś koło Hrubiego Wierchu na Liptowie, bo na naszej stronie wówczas kozic nie było, a przeznaczoną na stół odpustowy w Kalwarji, który miał być zaszczycony obecnością, podniebieniem i żołądkiem pewnego dostojnika kościelnego. Na wózku nie wysmarowanym, jak się należy, zła jazda; to prawda stara jak świat i tak ważna, że Żydzi w starej mleko - i miododajnej ojczyźnie swojej, jakto słyszałem na lekcji jednego z moich profesorów, gdy mieli potrzebę okazania komu w sposób namacalny swojej czołobitności, dowody tego to poszanowania, choćby najmniejsze, w obu nieśli rękach dla nadania im pozoru wielkości, wagi i wartości. Świat dzisiaj wytrzeźwiony i realniejszy zamiast pozornej wagi i wartości woli rzeczywistą. A co do mazi, maści i smarowideł używanych w rozmaitych słabościach i dolegliwościach ludzkich z zadziwiającym nieraz skutkiem, ta w nich zachodzi różnica, że jednemi lekarze słabych smarować każą, innemi słabi smarują oczy, uszy i rozmaite inne jeszcze części ciała i duszy swoich lekarzy. Siła i moc wspomnianych smarowideł jest tak nadzwyczajna, że niektórzy ludzi tak czasem bystrzeją i rozsumienniają się, że np. powszechnie znany zwyczaj kotów zagrzebywania odchodów swoich, lub to, że szaraki kilka razy do roku mają młode, że żubry raz do roku stają się więcej niż zwykle bodliwemi, a w chatach góralskich w całem pasmie Karpat zazwyczaj jedno tylko bywa łóżko, najśmieszniejsze sprawia im dolegliwości duszne. Że zaś ludzie często wówczas udają największą o zachowanie pewnych przymiotów gorliwość, gdy się ich sami dawno pozbyli, więc pomienieni umysłowi i moralni suchotnicy dla zabezpieczenia światu nieskażonej dziewiczości i anielskiej niewinności, która ich zdaniem nie na widok, lecz na wspomnienie zagrzebanego odchodu kociego, młodych zajączków, bodących się żubrów i jednego w chacie góralskiej łóżka i tym podobnych nieprzyzwoitości w niwecz obrócić się musi, klątwą obrzucają każdego, ktoby śmiał twierdzić, iż kot zagrzebuje odchody swoje, itd.

Wracając do kozic, rzecz prosta, że przy tak nadzwyczajnem rozmiłowaniu się w nich kierpcowych i niekierpcowych, jawnych i potajemnych myśliwych zwierzęta te wnet zniknąć musiały z całej północnej połaci Tatr, jakoż istotnie od dwudziestu pięciu lat zobaczenie kozicy w tych stronach należało do nader rzadkich zdarzeń, a był to okaz zabłąkany lub spłoszony z Tatr węgierskich. Prof. dr. Nowicki podczas wycieczek swoich w latach 1864—1867 po całych Tatrach raz tylko w Tatrach węgierskich widział pięć kozic razem[1] W. Polowi opowiadali górali, że dopóki w dolinie kościeliskiej nie było hut i kuźnic, kozice pasały się w tej dolinie[2]. Żadnego w tem nie ma zmyślenia. Tschudi[1] opowiada, gdy w kantonie Glarus nowszemi czasy na trzy lata zabronionio wszelkiego polowania na kozice, iż zwierzęta te tak się oswoiły, że się często pojawiały na halach, na których pasiono krowy i zbliżały się do robiących siano po upłazkach w turniach. W ostatnim dziesiątku lat zeszłego wieku wspomina Hacquet[2] kozice w Ornaku i w Czerwonych Wierchach, tutaj także świstaki a Jaskówczarz, rozbójniczego rzemiosła człowiek z Dzianisza, zabił niezbyt dawno kozicę z młodem w Maturowych turniach nad doliną kościeliską. Był on jedną ręką z Janem Krzeptowskim. On z Jędrzejem Janosikiem wytępił także ostatnie kozice w Starej Robocie, w Klinie i w Jamnickiej. W Rohaczach wyniszczyli kozice Sieczka[3], Jan Pająk i Samek z Zakopanego. Nieżyjący już Jan Bucz (czy Buc) z Jurgowa wytępił do 300 kozic i wszystkie świstaki, w okolicy Jaworzyny. Reszty kłusowników z Podhala naszego wymieniać nie ma co; jest ich wielu, a niejeden z nich ocierał się zbliska o złodziejów i rozbójników tamecznych lub sam brał czynny udział w wyprawach rycerskich to na zamożniejszych górali, to na żydów i księży.

Skoro nasze Tatry oczyszczono z kozic, zapuszczano się po nie na Węgry, w turnie ponad Czarnym Stawem nad Morskiem Okiem, pod Hruby Wierch, ku Krywaniowi. Jakoż granic własności w Tatrach żaden z pomienionych ludzi znać nie chce. Lecz otóż właśnie jakoś od r. 1850 nie pospolici turyści, szukający w Tatrach i pod Tatrami poziomych i nadziemskich wrażeń, ani też zdrowi chorzy kąpiący się w żętycy, aby rzeczywistym słabym podać zręczność wypłókiwania sobie żołądków świeżą wodą tatrzańską, a bacom sposobność do fałszowania żętycy dolewaniem wody, a dla zapewnienia jej własności rozwalniającej dodawaniem płynu wygniecionego z butwiejącego po lasach drzewa, zresztą nie wiedzący sami, po co tam przybywają, ani też wreszcie podróżni widzący w Podhalanach coś moralnie i umysłowo tak doskonałego, że wszyscy bogowie greccy z czasów przedeurypidesowych byliby zaledwo godni przypiąć im kierpce do nóg, lecz zwiedzacze Tatr innego rodzaju, naprzód obcy[4], potem też i swoi, zaczęli spostrzegać dziwną goliznę Tatr co do niektórych zwierząt, o których prawie już tylko ze słuchu i z dawniejszej literatury tatrzańskiej dowiadywano się, i z niezadowoleniem pomrukiwać o niej. Wreszcie Komisja fizjograficzna byłego Towarzystwa naukowego krakowskiego jęła się tej sprawy, a czteroletnie usiłowania, rozpoczęte 24 września 1865, o tyle pomyślny odniosły skutek, że minister Belcredi pismem z 8 maja 1866 (l. 2265) polecił prezydjum namiestnictwa w Galicji, dla ochraniania kozic i świstaków tatrzańskich, czuwać nad ścisłem przestrzeganiem dotyczących ustaw (łowieckich), porozumieć się z węgierską radą namiestniczą w Budzie i rozważyć, jakimby sposobem dała się osięgnąć zamierzona przez Towarzystwo naukowe krakowskie ochrona tych zwierząt[5], a ustawą z 19 lipca 1869 zabroniono chwytania, wytępiania i sprzedawania zwierząt alpejskich Tatrom właściwych, tj. świstaka i kozicy.

Dokładnie przedstawiony przebieg całej tej sprawy ciekawą zajmie kartę w historji pomienionych zwierząt. Nie tutaj jednak dla niej miejsce. Uczynię to gdzieindziej. Tu przytoczę jedynie kilka szczegółów, jak u nas czasem pojmują tak potrzebę pewnych ustaw jak ich moc obowięzującą.

Dosyć śmiesznie to wyglądało, gdy niektórzy z Podtatrza, którzy sami niemało przyczynili się do wytępienia kozic i świstaków, przyoblókłszy się co tchu w szatę niewinności i umywając ręce za przykładem śp. Piłata, wrzekomo z radością powitali pomysł ochronienia tych zwierząt od ostatecznej zagłady[1] i jakby z rogu obfitości sypnęli mnogo rad zbawiennych, jakby tego celu dopiąć. Oświadczenia te przyjęto za dobrą monetę i pochlebnie się o tem rozpisywano. Kłusownicy kierpcowi zaś, gdy jednemu z nich, Michałowi Chowańcowi z Jurgowa, odebrano łup, innemu oklepiec, a sprzedawaczkę sadła świstaczego, Hankę Kicinę z Starego Bystrego, 29 grudnia 1865 ukarano dwumiesięcznym aresztem, zaś 6 października 1866 w myśl rozporządzenia ministerjalnego z 2 stycznia 1854 zaprowadzono straż myśliwską, z dobrowolnych datków utrzymywaną[2], przycupnęli na chwilkę, wyczekując, co dalej będzie. I cóż miało być? To było, co zwykle u nas bywa, z początku coś, a potem nic. Kozice, których oddawna nie widziano w pobliżu Zakopanego, zaczęły wprawdzie pokazywać się w turniach okolicznych. Widziałem sam w jesieni 1866 r. z Granatu[3] dwie w Buczynowej; 16 sierpnia 1867 kierdelek (stadko) z kilku sztuk złożony w turniach tworzących tylną (południową) ścianę doliny Pańszczycy; w r. 1868 bywały koło Pięciu Stawów, na wiosnę 1869 zjawiły się trzy kozice nawet w Giewoncie nad Zakopanem a 25 kwietnia 1871 cztery koło Kopy Magury nad kuźniami zakopiańskiemi. Rozumie się, że kozice te po nic innego nie mogły pojawiać się w pobliżu Zakopanego, jak jeno po to, aby nie potrzebowano jak przed rokiem 1865 daleko za niemi chodzić, a Komisja fizjograficzna niezawodnie nic innego na myśli nie miała ani nie śmiała mieć, jak sprawienie tej wygody rozmaitym myśliwym.

Polowania na kozice nie ustały i gdziekolwiek się jeno co zjawiło, zaraz brano na kieł i sprzątano. Tak np. 1866 r. na wiosnę wyprawiło się kilku Zakopian w Gołe Wierchy na polowanie. Tegoż roku w październiku przez cały tydzień polowano na kozice w Pięciu Stawach. Widziano ubitą tamże kozicę. Następnego lata znowu kilku Zakopian zabiło tutaj kozicę. Dnia 14 września tegoż roku (1867) poszedłem z barometrem na Granat. Dosyć skąpa tam i jałowa roślinność. Na zboczy południowej widziałem gromadnie rosnący tojad[4] w okazach stosunkowo małych, bo tylko jedną do dwóch zaledwo stóp wysokich. Ale koło szczytu znalazłem szczątki rośliny nie rosnącej w Tatrach, bo skórki z pomarańcz. Skąd się tam wzięły? Dnia 2 sierpnia 1867 było wprawdzie kilka pań na Małej Ko-

---

[1] Patrz powyżej wspomnianą monografię 99.

[2] Obrazy z życia i natury. Kraków, 1870. 304

[1] *Das Thierleben der Alpenwelt.* 325.

[1] *Neueste physikalisch-politische Reisen in den Jahren 1794 und 95 durch die Dacischen und Sarmatischen oder Nordlichen Karpathen. Vierter Theil. Nürnberg, 1796.* 151 *i* 154.

[3] Górnik (hawiarz, Hauer) i kłusownik, porzucił to rzemiosło, człowiek trzeźwy, sumienny i najlepszy przewodnik.

[4] Np. Dr. Kornhuber 1857, Fryderyk Fuchs 1863, Dr. H. K. Brandes 1865 i inni.

[5] Czy to polecenie ministerjalne zostało wykonanem, nic o tem znikąd nie doszło do wiadomości Komisji fizjograficznej Tow. nauk. krakowskiego.

[1] Do tych mykitów należał także Stanisław Sobczak.

[2] Od wiosny 1868 r. straż ta czynności swoich w obrębie Zakopiańszczyzny zaniechać musiała.

[3] Trzy strome szczyty między Czarnym Stawem Gąsienicowym i dolinami Buczynową i Pańszczycą. Granatu szczyt południowy 2244·55 m., szczyt środkowy 2241·18 m.

[4] *Aconitum.*

szystej, tj. na północnym końcu ramienia, którego najwyższem wzniesieniem są właśnie Granaty. Wyszedłszy od Czarnego Stawu Gąsienicowego na pomieniony szczyt już dosyś późno, bo o godzinie piątej z południa, przywitane na nim tumanami mgły, owiane i przewiane do kości silnym mroźnym wiatrem północnym przy ciepłocie a raczej zimnocie 2·88° R., w nocy przy latarniach górali wysłanych naprzeciwko nich wróciły do domu. Na Granat jednak onego lata żadnej wycieczki nie robiono, i w ogóle nie jest to szczyt zapraszający do nich; zresztą w połowie września już też i gości w Zakopanem nie ma. Po kilku dniach mówiono we wsi, że tydzień przedtem było polowanie na kozice w Granatach i że za bytności gości nie chciano dać powodu do niemiłych gadanin. To tylko powiedzieć tutaj mogę, że Granaty nie należą do Zakopanego, nie widziałem także nigdy górala jedzącego pomarańcze. W r. 1869 około 20 czerwca w Roztoce i w Wołoszynie ubito capa, samicę i młode, które zaniesiono przez Bukowinę do Cichego, stamtąd na wózku przywieziono do Zakopanego, a stąd zawieziono gdzieś za Kraków. Na wiosnę tegoż roku (1869) zjawiły się trzy kozice w Giewoncie. Dnia 30 lipca wysłano Jarząbka, Samka i kilku innych, aby je bądź co bądź wystrzelać. Opowiadan o tem dnia 1 sierpnia w szałasie w Strążyczkach pod Giewontem[1].

Z powyższych zapisków urywkowych widać, że wprawdzie od jesieni roku 1865 kozice z turni węgierskich zaczęły przybywać na naszę stronę i zjawiać się w miejscach, gdzie ich, jak powyżej napomknąłem, od lat dwudziestu i pięciu wstecz nie widywano, że jednak spokoju nie miały, i gdziekolwiek się pojawiały, zaraz je sprzątnięto lub sprzątnąć usiłowano; powtóre, że góralstwo podtatrzańskie zaniechałoby kłusownictwa, gdyby nie miało zachęty i otuchy skądinąd, słyszałem to bowiem od kłusowników, że co jednemu ma być wzbronionem, to drugiemu nie śmie być dozwolonem, niemniej gdyby kłusowników doglądano pilnie a przestępców surowo i bezwzględnie karano.

Tego wszystkiego nie było; więc też kłusownictwo, jak kwitnęło w Tatrach do jesieni 1865 r., tak przycichnąwszy nieco przez rok 1866, przecież nie ustawało, a wyżej wspomniana ustawa z 19 lipca 1869 stanu rzeczy nie zmieniła, bo niejednę już wydano ustawę pożyteczną, a przecież pozostała na papierze. Cóż dopiero w rzeczach tak niebywałych u nas, jaką jest ochrona zwierząt! U nas zwierzę a głaz lub drewna kawałek, to jedno; kto się odezwie za zwierzęciem, to nietylko marzyciel, ale bezbożnik nawet, ateusz i Darwinista. Że tym zapatrywaniom i kierowaniu się niemi w życiu zawdzięczamy tę niesłychaną surowość, w niejednym względzie nawet dzikość ludu, która go czyni niesposobnym do przyjęcia jakichkolwiek wpływów i wrażeń, coby łagodziły i usuwały tę surowość i dzikość, a przeciwnie sprzyja uporczywemu trwaniu w usposobieniu, czyniącemu niejedno dobre niewykonalnem, nad tem u nas mało dotąd zastanawiano się. Niezmiernie daleko sięgającej moralnej doniosłości ustaw uchylających dzikość w obchodzeniu się z zwierzętami, zatem też bezzasadne ich wytępianie, dopatrzeć się u nas nikt nie chce. Że takie ustawy mają także niemałe znaczenie ekonomiczne, tego gdzieindziej nie potrzebaby dowodzić, bo chów bydła i jakichkolwiekbądź zwierząt domowych dopóty nie podniesie się u nas, dopóty ludowi będzie wolno tak obchodzić się z niemi, jak to czyni dotąd, jak to np. z końmi bezustannie i na każdej ulicy Lwowa widzieć można, mimo częstego w dziennikach tutejszych zwracania uwagi ck. Dyrekcji Policji na te barbarzyństwa. Lud musi pierwej dobytek swój polubić; potem dopiero będzie się starał, aby był dorodny. A takim być musi, jeżeli gospodarstwo ma się podnieść. To nie są marzenia. Więc wracając do kłusownictwa, prawdą jest, że kłusownictwo jest złodziejstwem. W krajach, w których gospodarstwo wyżej stoi niż u nas, kłusownicy do najniebezpieczniejszych należą złodziejów i kładą ich prawie na równi z rozbójnikami. W Tatrach nie byłoby trudno dowieść czegoś podobnego. Inne kraje monarchji mają ustawy urządzające polowanie celem ochraniania dziczyzny, mają ustawy ochraniające ptactwa, mają ustawy rybackie itp. Tak w grudniu 1874 r. zatwierdzone zostały takie ustawy dla Bukowiny, Krainy, Solnogrodu i Dalmacji; inne prowincje monarchji mają je już dawno, Czechy np. od r. 1819. My się bez takich fatałaszek obchodzimy, bo cóż też na tem zależy, jakim kijem kto biedną szkapę wali i ile tysięcy pałek dziennie bierze? co na tem zależy, czy tego lub owego gatunku zwierząt, np. ptaków, jest mniej lub więcej? cóż na tem zależy, czy ten lub ów gatunek całkiem wyginie? Istotnie nic, ale tylko ze stanowiska nihilizmu, wobec którego także najzupełniej na jedno wychodzi, czy państwo lub ludy i narody bądź szczuplęją bądź zupełnie giną. Przecież inne rosną, wzmagają się i tyją ich kosztem.

Od 19 lipca 1869 r. do 24 października 1874 ochrona kozic i świstaków w Tatrach była taką samą, jaką była przed 19 lipca 1869 r. Kazano wprawdzie w tym czasie jednemu kłusownikowi zapłacić 5 złr. kary. Nie wiem, czy mu odebrano łup. Podobno nie. Jeżeli tak — chętniebym się mylił — to ten przynajmniej kłusownik nietylko nic nie stracił, owszem mimo kary zarobił, bo kozicę płacą po 10 do 20 złr. Zresztą tu są imieniny, tam było coć innego. Posyła się tedy kłusowników i przynoszą kozicę. Ustawa sobie, a kłusownictwo sobie. Na przechadzce 1867 r. z Zakopanego do Przybyliny na Liptowie słyszałem od leśnego, w Kokawie, że w Hradku ktoś wyprawiał wesele. Więc tego samego leśnego posłano do Krywania po kozicę. Leśny zabił trzy, jednę czy dwie oddał, resztę zatrzymał dla siebie. Zrozumiałem tedy, dlaczego zarząd lasowy w Hradku, do którego kilka razy pisano w sprawie ochrony kozic, a mianowicie o doglądanie kłusowników galicyjskich, nic nie odpowiadał. W roku 1866 zrobiłem sobie przechadzkę z Zakopanego do Jaworzyny na Spiżu. U zarządcy ówczesnego huty jaworzyńskiej opowiadano przy stole, że przy sposobności jakiejś czynności urzędowej w Bukowinie czy w pobliżu ktoś z Nowego-Targu u kłusownika Aleksandra Pary z Jurgowa zamawiał sobie kozice. Na wiosnę 1874 r. przywieziono odrazu trzy kozice do Krakowa i tam je sprzedano. Więc §. 5 powyżej wspomnianej ustawy, wkładający na wszystkie straże publiczne obowiązek czuwania nad jej przestrzeganiem, sobie a kłusownictwo sobie. Wiem, że tęgi cap waży nawet 1¼, żubr zaś 14 cet., a przecież i żubry bywają kradzione.

Na Węgrzech, jak wspomniałem, stan rzeczy nie o wiele lepszy. W roku 1869 jeden Karol Z. z Tepliczki[1] z Michałem Z., praktykantem leśniczym w Hradku, w Krywaniu zabił 7 kozic. Nowa węgierska ustawa łowiecka z 1872 r. ogranicza polowanie na kozice od 1 lipca do 15 listopada. Jest to ustawa bardzo dowcipna, bo przed lipcem trudno w turniach polować dla śniegu, a po 15 listopada, nieraz i wcześniej już, także to niełatwo z tej samej przyczyny. I co do czasu ssania młodych koźląt, nie zła to ustawa. Młode przychodzą na świat z końcem kwietnia lub maja, a okres ssania trwa pół roku i dłużej. Jeżeli zatem w roczniku węgierskiego Towarzystwa karpackiego[2] powiedziano, że obecnie w Tatrach jest 400 go 500 kozic, jest to kolosalne kłamstwo, w które uwierzy ten, który nigdy ani Tatr ani kozic w Tatrach nie widział. Ale obok tej kaczki siedzi druga, wylężona i chodowana po naszej stronie. Otóż pewien jegomość twierdzi uparcie już od dziesięciu lat i wszystkim, o których tylko przypuszcza, że ich kozice coś obchodzą, trąbi w uszy, że liczba kozic tak wielka w Tatrach, że podczas rui capy się zabijają. Jest to bąk puszczany w tym samym celu, co poprzedzający. Pięknie, że są dwa. A zmyślenia te pozostaną tem, czem są, dopóki ich ojcowie nie postarają się o dowód, że są czemś więcej aniżeli zmyśleniem. Rachuba bardzo prosta; lepiej capy powystrzelać, niżby się same miały pozabijać; powystrzelawszy zaś capy, wypadnie powybijać i kozy, bo same z siebie nie będą się przecież rozmnażały. Jednakowoż i te bąki bardzo namacalnie pouczają, że polska część Tatr mogłaby być jedynem dla kozic schronieniem, gdyby nie liczne, już poprzednio wytknięte ale.

Są jednaki na Węgrzech ludzie, których każdy piszący o Tatrach i o ochronie zdobiących je zwierząt z uszanowaniem wspominać będzie. Należy do nich między innymi radca dworu Edward Szedényi. Wziął on od pięciu gmin w okolicy szczaw sławkowskich polowanie na kilka lat w dzierżawę, nie jakoby sam był Nimrodowiczem, lecz dlatego, aby skutkiem umiarkowanego polowania wzmogła się liczba kozic w tejto okolicy. Bawiąc prawie rokrocznie przez dwa miesiące letnie u pomienionych szczaw, wychodzi on wprawdzie czasem z strzelcami i psami swemi w Tatry; atoli jak z bardzo rzetelnego dowiaduję się źródła, nie aby strzelać, lecz aby się naocznie przekonać, jaki jest stan zwierzyny w jego dzielnicy. Prócz tego ustanowił on w porozumieniu z zarządem szczaw sławkowskich straż złożoną z dwóch należycie uzbrojonych ludzi. (C. d. n.)

FRANCJA DZISIEJSZA

POD WZGLĘDEM LITERACKIM I ARTYSTYCZNYM.

Rzecz dla „Tygodnia“ napisana

przez

L. PICARD'A.

(Ciąg dalszy.)

VII.

MUZYKA.

Czy istnieje muzykalna szkoła francuska? Narodowa miłość własna odpowiada że tak. Od

---

[1] Przysłuchujący się opowiadaniom ludzi miejscowych o tych polowaniach często usłyszy nazwiska Michała Gąsienicy, Wojciecha Goliana, Jana Jarząbka, Jana i Jędrzeja Krzeptowskich, Kwaśnicy, Michała Samka, Stanisława Sobczaka, Śliwacza, Szymona Tatara i inne.

[1] Na Liptowie.

[2] Jahrbuch des ungar. Karpathen-Vereins. Kaschau, 1874.

czasów kompozytora filozofa J. J. Rousseau, który napisał *Le devin du village*, od czasów czułego i pasterskiego Rameau, od czasów Boieldieu, Dalayrac, muzyka francuska szczycić się może iż posiada kompozytorów jak Herold, Auber, Halevy, Felicjan David, Gounod, Wiktor Massé, Ambroży Thomas itd.

Szkoła francuska znajdowała się zawsze pod dwoma wpływami, przypominającymi sławne kłótnie Gluckistów i Piccinistów. Kolejno to Niemcy to Włosi wpływali na francuskich mistrzów.

A naprzód Włosi ze swą muzyką melodyjną, przemawiająca do serca, byli pierwszymi piastunami niemowlęcej szkoły francuskiej. Boieldieu i Herold byli to Włosi, dodający do swej muzyki wdzięk i uczucie francuskie. Rossini przybywszy z tradycją włoską, którą zaczerpnął u Cimarosy, wprowadził do Francji ową dowcipną i łatwą muzykę „Cyrulika sewilskiego.“ Pamiętać trzeba że Donizetti był bardzo w modzie i że Bellini swą eteryczną muzyką poruszał wszystkie współczesne mu bajronowskie umysły. Nakoniec Meyerbeer przybył z nowemi pomysłami. Przynosił on z sobą wspomnienia Mozarta i Webera, mało podówczas znane we Francji i niebardzo cenione. „Robert djabeł“ wywołał zdumienie, „Hugenoci“ rewolucję. Nauka niemiecka uzupełniała frazes włoski. Francuzi wyszli z owej prostoty orkiestracji, która właściwie była ubóstwem. Obok kwartetu instrumentów smyczkowych, który Lulli wprowadził do Francji za Ludwika XIV i który nieco powiększono na stępnie, dała się słyszeć dźwięczna miedź, i Meyerbeer, że wszystkiemi temi nowemi instrumentami stworzył naukę orkiestracji. W tym samym czasie Halevy pisał „Żydówkę“, a Auber postawił na scenie „Niemą“, dwa dzieła oryginalne, które u Włochów zapożyczyły namiętności, a u Niemców siły.

Z drugiej strony powstał prawdziwy rodzaj francuski, opera komiczna. Adam, Herold, Halevy, Auber, Ambr. Thomas, Wiktor Massé, Grisar połączyli wesołość i dowcip w łatwej melodji. Opera stanęła w całej swej świetności. Dwa genjusze, Meyerbeer i Rossini, uznali Francję za drugą swą ojczyznę.

Za drugiego cesarstwa szkoła francuska ustala się. Gounod pisze „Fausta“ najznakomitsze dzieło tej epoki. Muzyk ten ulegający rozmaitym wpływom: włoskiemu w „Filemonie i Baucis“, Wagnerowskiemu w „Królowej Sabie“ — zrobił z „Fausta“ dzieło prawdziwie oryginalne.

Orjentalista Felicjan Dawid postawił na scenę „Herkulanum“, muzykalne wspomnienie starożytnej Italji przy dźwięku cytr i tamburynów, z antyczną kadencją z muzykalnych tradycyj Azji i Afryki. Przedtem utworzył „Pustynię“, również pod natchnieniem Wschodu.

Ambr. Thomas, oddawna znany ze swych oper komicznych, wziął się do opery poważnej w „Hamlecie“, dziele potężnem, stojącem prawie na wysokości utworu poety angielskiego. Mermet napisał śpiew wojenny *Rolanda Roncevaux*.

Nie można pomijać chwili w której Ryszard Wagner ukazał się w Paryżu. Znanem jest zimne przyjęcie, jakiego doznał *Tannhäuser*. Od tego czasu Wagner poczytany został za osobistość najbardziej anti-francuską. Pomimo to pobyt w Paryżu wielkiego kompozytora niemieckiego pozostawił ślady. Była chwila w której Francji zagrażał pangermanizm muzykalny. Utworzyła się szkoła, z Berliozem na czele. W owym czasie Gounod także wagneryzował w „Królowej Sabie.“ Pasdeloup w swych „koncertach popularnych“ rozświetlił utwory Ryszarda Wagnera. Kompozytor niemiecki został uznany. Od czasu wojny powstała reakcja przeciw autorowi „Lohengrina“ wynikająca raczej z pobudek politycznych a nie artystycznych. Wpływ jaki Wagner będzie miał na przyszłość muzyki francuskiej jest niezaprzeczony.

Dla uzupełnienia obrazu muzyki francuskiej należy mówić o operetce. Jestto nowe wcielenie muzykalne, doskonale przystające do gustu współczesnego, który do rozpaczy doprowadza purystów. Arcykapłanom sztuki nie pozostało nic jak tylko zasłonić sobie oblicze.

Bądź co bądź operetka ma powodzenie ogromne. Offenbach, Niemiec, posiadający czysto paryski dowcip i *brio*, wszedł w modę, a łatwe jego i wesołe śpiewki rychło stały się popularnemi. „Orfeusz w piekle“, „Wielka księżna“ i „Piękna Helena“ — o to trzy najświetniejsze kompozycje tego mistrza kaprysów i fantazji. W „Orfeuszu“ połączył on w niewielkich ramach efekta, wesołość, *kaskadę* muzyki paryskiej. „Spiewka Fortunata“ jestto melodja pełna uroku, „Bataclan“ dowcipna chińszczyzna, *Croquefer* wyborny żart średniowieczny, i wiele innych. Muzykalny frazes Offenbacha jest wesoły, trafny, popularny bez trywialności, pełen świeżych i melodyjnych pomysłów. Orkiestracja jest słaba, nawet uboga, ale co to znaczy! Muzyka jego rozweseliła całą generację.

Hervé ma więcej nauki aniżeli Offenbach, ale mniej jest pomysłowy. Dał się on poznać przez muzykalną ekscentryczność *L'oeil crevé*. Hervé jest zarazem aktorem, kompozytorem i autorem. Jako aktor jest znośny, jako kompozytor pomysłowy i oryginalny, jako autora możnaby go odesłać do domu obłąkanych w Charenton. Wymienić należy tegoż autora *Le petit Faust i Chilperic*. We wszystkich teatrach Francji i zagranicy przedstawiano „Córkę pani Angot“ operę komiczną, której akcja odbywa się za dyrektorjatu. Lecoq, autor muzyki jest melodystą, który nie bardzo będąc oryginalnym włada wszelkiemi zasobami orkiestracji.

Mimowolnie zacząwszy mówić o takich mistrzach jak Herold i Auber skończyłem na Lecoq'u. Ale ci mistrze idą w zapomnienie, a pozostają kompozytorowie bez stylu. Francja potrzebuje muzykalnego odrodzenia; pomimo bowiem całego uroku operetek, zamiłowanie w wielkich dziełach znika. We Francji można zrobić takie porównanie: publiczność uwielbiająca niegdyś Apolla belwederskiego i Wenus z Milo, dziś rozmiłowana się poliszynelem. (D. n.)

FAUST.

Nowella rossyjska w dziewięciu listach

JWANA TURGENIEWA

przełożył J. Pł......

„Entbehren sollst du, sollst entbehren.“
Fausta część I.

(Dokończenie.)

LIST IX.

(Paweł Aleksandrowicz B. do Szymona Mikołajewicza W.)

Wieś P... 10. marca 1853.

Wieczorem — słońce jeszcze nie było zaszło — stałem ukryty w gęstych zaroślach, na pięćdziesiąt kroków od furtki ogrodowej, nad brzegiem jeziora. Przyszedłem pieszo. Na wstyd mój wyznać ci muszę, że trwoga, dziecinna trwoga ściskała mi serce. Drżałem jak liść—lecz skruchy nie czułem żadnej. Słońce już było zaszło; gwiazdy poczęły wschodzić, ściemniło się zupełnie. Nikt nie przychodził — trząsłem się jak we febrze. Wreszcie noc zupełnie zapadła, nie mogłem już dłużej wytrzymać. Ostrożnie wyszedłem z mej kryjówki i zbliżyłem się do furtki. W całym ogrodzie panowała cisza... z cicha zawołałem Wierę po imieniu, raz i drugi i trzeci.... żadnej odpowiedzi. Upłynęło pół godziny, godzina... głęboka już noc zapadła... znudzony oczekiwaniem, otwarłem z cicha furtkę i jak złodziej na palcach podkradałem się ku domowi. Stanąłem pod lipami i ujrzałem ku memu zdziwieniu wszystkie okna domu oświecone i ludzi uwijających się po pokojach. Zegarek mój, o ile przy mdłem świetle gwiazd dostrzedz mogłem, wskazywał godzinę w pół na dwónastą. Nagle usłyszałem szelest za domem i w tej chwili powóz jakiś wyjechał z podwórza.

Poszli goście, pomyślałem, i straciwszy już nadzieję ujrzenia jeszcze tego dnia Wiery, wyszedłem z ogrodu i wybrałem się z powrotem do domu. Była to ciepła, cicha, ciemna noc wrześniowa. Uczucie moje, graniczące bardziej ze smutkiem niż ze zmartwieniem, zwolna łagodniało i gdym powrócił do domu, byłem trochę znużony szybkim chodem, ale uspokojony ciszą nocną, szczęśliwy i prawie wesół. Wszedłszy do sypialni, odprawiłem Pietryka, zupełnie ubrany rzuciłem się na łóżko i zatopiłem się w myślach.

Zrazu było to słodkie marzenie, ale zwolna i stopniowo dziwna we mnie następowała zmiana. Jakaś tajemnicza, dręcząca trwoga, jakiś niepokój głęboki ogarniały mnie całego. Powodu ich nie znałem, lecz coraz cięższej, coraz smutniej było mi na sercu, jak gdyby mnie jakieś nieszczęście spotkać miało lub jak gdyby w tej chwili ukochana jakaś istota srodze cierpiała i pomocy mojej wzywała. Na stole paliła się świeca mdłym i nieruchomym płomieniem; zegar szeptał zwolna i jednostajnie. Oparłem głowę na ręku i wlepiłem wzrok w półciemny kąt samotnej izby. Myśl moja była przy Wierze i boleść sercowa opanowała całą moję duszę. Wszystko to, co mnie dotąd uszczęśliwiało, stanęło nagle przedemną w prawdziwem swem świetle, jako nieszczęście i nieunikniona zguba. Trwoga moja wzrastała coraz bardziej... nie mogłem już dłużej leżeć... w tem nagle zdawało mi się, jak gdyby mnie ktoś wołał po imieniu błagalnym, rozpaczliwym głosem. Mróz mnie przejął, drżąc cały podniosłem głowę, nie, nie omyliłem się! Z dala bił głos przeraźliwej skargi i uderzał z ponurym łoskotem o ciemne szyby okien... zeskoczyłem z łóżka i roztwarłem okno. Wyraźna skarga i głos żałośny wdarły się do pokoju i zahuczały mi przeraźliwie nad uszami... drżąc z przerażenia usłyszałem ostatnie ich echa. Zdawało się, jak gdyby ktoś daleko pod nożem mordercy daremnie błagał zmiłowania. Czy to puhacz zahuczał tak w lesie? czy inne jakie stworzenie? Nie mogłem sobie zdać sprawy, ale jak Mazepa Koczubejowi, odpowiedziałem głośnym krzykiem na ten złowrogi głos.

— Wiero! Wiero! — krzyknąłem — tyż to mnie wołasz?...

Na krzyk mój zbudził się Pietryk i zaspany wszedł do pokoju. Przyszedłem nieco do siebie, wypiłem szklankę wody i wyszedłem do innego pokoju, lecz spać nie mogłem w żaden sposób. Serce moje nie biło gwałtownie, lecz

każde uderzenie jego sprawiało mi ból. Nie śmiałem już więcej oddać się marzeniom, o szczęściu — nie śmiałem wierzyć w nie więcej.

Nazajutrz pojechałem do Prijimkowa. Wyszedł do mnie zasmucony.

— Żona moja chora — rzekł do mnie — leży w łóżku; posłałem po lekarza.

— Co jej jest?

— Sam nie wiem! Wczoraj wieczorem wyszła do ogrodu i nagle powróciła blada i przerażona. Pokojówka przywołała mnie natychmiast. Przyszedłem, pytam moję żonę: co ci jest? Ona nie odpowiedziała ani słowa i od tej chwili leży chora w łóżku. W nocy poczęła mrzyć w gorączce. Mówiła Bóg wie co. I o was także coś wspominała. Pokojówka opowiadała mi dziwaczną rzecz. Wieroszce mojej miała się ukazać w ogrodzie umarła matka. Zdawało jej się, że idzie ku niej z rozwartemi ramionami.

Łatwo sobie wystawisz, co się we mnie działo, gdym słyszał te słowa.

— Wszystko to głupstwo i bajki — ciągnął dalej Prijimkow. Muszę jednak przyznać, że żona moja dziwnych w tej mierze dożyła rzeczy.

— Powiedzcież mi, proszę, czyż Wiera Mikołajewna istotnie ciężko chora?

— Tak, bardzo chora, noc źle spędziła. Teraz trochę usnęła.

— Cóż lekarz powiedział?

— Powiedział, że choroba jeszcze się dokładnie nie rozwinęła....

12. marca.

Nie mogę ciągnąć tak dalej opowiadania mojego, jakem je zaczął, kochany przyjacielu. Nadto mnie ono wzrusza, zbyt boleśnie jątrzy niezgojone rany. Choroba — mówiąc słowami lekarza — rozwinęła się dokładnie i Wiera umarła na nią. Żyła jeszcze tylko czternaście dni po naszem ostatniem, złowrogiem widzeniu się z sobą. Przed zgonem widziałem ją raz jeszcze — to najstraszniejsze z wszystkich wspomnień moich! Lekarz powiedział mi, że nie ma już żadnej nadziei. Późno wieczorem, kiedy już wszyscy pozasypiali, zakradłem się pod drzwi jej sypialni, ażeby ją jeszcze raz ostatni obaczyć. Leżała na łóżku z przymkniętemi oczyma, wychudła, z gorączkowym rumieńcem na twarzy. Stałem przed nią jak skamieniały. Nagle otwarła oczy, zwróciła się ku mnie, wlepiła wzrok we mnie i podnosząc wychudłą rękę, rzekła:

— Ten, ten... co ten tu robi na tem świętem miejscu?

Powiedziała to głosem tak okropnym, że jak opętany uciekłem. Podczas choroby marzyła ciągle o Fauście i o matce swojej, którą raz nazywała Martą, to znów matką Małgosi.

Wiera umarła... byłem na jej pogrzebie. Od tego czasu porzuciłem wszystko i zamknąłem się tu na zawsze.

A teraz przypomnij sobie raz jeszcze wszystko, com ci tu opowiedział. Pomyśl o niej, o tej cudownej istocie, którą tak szybko, tak nagle zgniotła ręka przeznaczenia. Jak się to wszystko stało, jak wytłómaczyć ten wpływ umarłej na losy żyjących, nie wiem i nigdy wiedzieć nie będę. Ale przyznasz mi, że nie żaden kaprys hipokondryczny, jak się wyraziłeś, skłonił mnie do usunięcia się od świata. Nie jestem już więcej takim, jakim mnie dawniej znałeś i wierzę teraz w niejedno, w com dawniej nie wierzył. Myślę ciągle o tej nieszczęśliwej kobiecie — omal nie powiedziałem dziewczynie — o jej początku i o tajemniczej grze przeznaczenia, którą my w naszej ślepocie „przypadkiem“ zowiemy. Kto wie, ile każdy człowiek zostawia po sobie na świecie nasienia, któremu przeznaczonem jest zejść dopiero po jego śmierci? Kto w stanie powiedzieć, jaki łańcuch tajemniczy wiąże losy człowieka z losem dzieci lub wnuków jego; jak namiętności jego na nowo w nich się odradzają i jak one pokutować muszą za jego grzechy i błędy. My wszyscy musimy się ukorzyć i ugiąć głowę przed tem, co jest niepojęte.

Wiera zginęła, a ja zostałem bezkarny. Przypominam sobie z dzieciństwa mego, że znajdował się u nas w domu piękny wazon z przeźroczystego alabastru. Żadna plamka nie zaciemniała dziewiczej jego czystości. Pewnego dnia, gdym był sam w pokoju, począłem kręcić podstawkę, na której stał wazon. Wazon spadł i potłukł się w drobne kawałki — skamieniałem z przestrachu i stałem nieruchomy nad czerepami. W tej chwili wszedł do pokoju mój ojciec, a ujrzawszy co się stało, rzekł do mnie: Widzisz, coś uczynił! nie ma już więcej naszego pięknego wazonu... nie ma już sposobu naprawić go. Płakałem wówczas serdecznie — zdawało mi się, żem popełnił zbrodnię.

Zostałem dorosłym mężczyzną i rozbiłem lekkomyślnie naczynie tysiąc razy kosztowniejsze.

Daremnie wmawiam sam w siebie, że nie mogłem przewidzieć takiego końca, że spadł tak nagle i niespodziewanie, że nie miałem wyobrażenia, czem jest Wiera. Milczała istotnie aż do ostatniej chwili — moim to obowiązkiem było uciekać, skorom się spostrzegł, że ją kocham, że kocham żonę innego.... Ale ja zostałem... a teraz ta cudna istota leży skruszona jak ów wazon kosztowny, a ja w niemej rozpaczy stoję nad jej szczątkami i spoglądam na dzieło rąk moich....

W istocie, jak zazdrośna matka czuwała pani Elzow nad córką swoją i przy pierwszym nierozważnym kroku, pociągnęła ją za sobą — w grób.

Czas już zakończyć... nie powiedziałem ci setnej części tego, cobym miał do powiedzenia, lecz dość tego dla mnie. Niechże te wspomnienia zapadną napowrót w głąb duszy, z której wypłynęły na chwilę. Na zakończenie powiem ci jeszcze tylko: doświadczenia lat ostatnich przekonały mnie, że życie nie jest krotochwilą ani rozrywką. Ono nie jest także używaniem.... ono jest ciężką, twardą pracą. Zaparcie się siebie, zaparcie się wszystkiego — oto cała tajemnica jego, oto rozwiązanie jego zagadki. Nie o urzeczywistnienie swoich ulubionych planów i ideałów, chociażby najwznioślejszych, powinien się człowiek troskać, lecz o wypełnianie swoich obowiązków. Kto na swój kark nie nałoży twardego jarzma obowiązku, ten nie dojdzie nigdy bez usterki aż do celu swojej drogi. Za młodu myślimy: czem swawolniej, tem lepiej — tem dalej zajdziemy. Niechaj myśli tak młodzież — lecz ten, komu raz surowe oblicze prawdy zajrzało w oczy, wstydziłby się powinien bawić się złudnemi mamidłami jak żak.

Bywaj zdrów! dawniej dodałbym: i bądź szczęśliwy! teraz powiem: **staraj się żyć**, nie tak to łatwo, jak się nam wydaje. Wspominaj o mnie nie w chwilach smutku, lecz w chwilach zwątpienia i zachowaj w twej duszy obraz Wiery w nieskalanej czystości.

Raz jeszcze, bywaj zdrów!

Twój P. B.

PO WOJNIE r. 1831,

część II. pamiętników

Ignacego hr. Komorowskiego.

Po długiej przerwie, zasiadam znowu do moich pamiętników. Co raz natrafiam na nowe przeszkody; wiek podeszły utrudnia część mechaniczną pisania, pamięć co raz słabsza, nie zestawia faktów w porządku po sobie następujących; głuchota co raz wzmagająca się; uniemożliwia komunikowanie się ze współczesnymi, a wrażenia czasów ubiegłych zacierają się w obrazowości umysłu. Nie zważając na to wszystko, biorę pióro w rękę, piszę li dla siebie, bo tej bazgraniny nikt pewnie po zgonie moim czytać nie będzie.*)

Kończył się dramat powstania narodowego, Warszawa poddać się musiała, chcąc ujść zniszczenia i rabunku, któreby niezaprzeczenie nastąpiły, gdyby dano powód rozbestwieniu chciwych łupu hord moskiewskich.

Korpus Ramorino, na którego ostatnią bitwę pod Borowem na samej granicy austrjackiej patrzałem ze wzgórków Zawichostu, wkroczył do Galicji, straciwszy w tej niepotrzebnej potyczce dosyć ludzi i kilku dobrych oficerów.

Widziałem z lewego brzegu Wisły, jak ten wybór polskiego wojska, składał broń władzom austrjackim...

Z takiemi boleśnemi uczuciami, wracałem do korpusu gen. Różyckiego, będąc przez tegoż wysłany dla sprawdzenia, czy wysłani oficerowie inżynierów i kwatermistrzowstwa, postawili most w Zawichoście lub Sandomierzu dla ułatwienia połączenia się z nami gen. Ramorino.

Dlaczego most nie stanął, nie pojmuję. Stan wody na Wiśle był bardzo niski, *un pont de fortune* zdawał mi się być pod ręką, bo i galary próżne znajdowały się na tym brzegu, i beczek próżnych te miasteczka posiadały wielką ilość, a drzewa budulcowego nie mało leżało na brzegach, z resztą budynki drewniane Zawichostu, przy dobrej woli, mogły na ten cel posłużyć.

Wieczorem na poczcie zastałem p. Tytusa Działyńskiego, który się przeprawił przez Wisłę łódką; a chcąc najbliższą drogą dostać się do Krakowa, ekspedycję jaką miał od X. A. Czartoryskiego do gen. Różyckiego, chciał właśnie sztafetą wysełać, kiedy nadjechałem. Tak zgłupiał z powodu ostatnich wypadków, tak stracił głowę i zapomniał o obowiązkach, jakie stopień oficera na niego wkłada, i jaka odpowiedzialność ciąży na jego honorze i sumieniu; że na wierzchu koperty napisał po francusku: „Quie, tout est perdu et que le general Różycki fasse tout son possible, de gagner au plutot la frontière autrichienne, pour ne pas être écrasé par l'ennemi.“

Oburzony tym postępkiem, powiedziałem mu bardzo ostre słowa prawdy, odebrałem tę ekspedycję, pokazawszy mu jakie od generała miałem rozkazy, i ruszyłem jak najprędzej o ile bardzo liche konie pocztowe zdołały, do główwnej kwatery. Zastałem generała jeszcze w Mnichowie, wsi między osobliwszemi ostrokręgowemi, bardzo stromemi pagórkami położonej. Korpus

*) Ś. p. Komorowski — raz tylko w ciągu długiego i czynnego życia swego wystąpił publicznie z pracą literacką; były to ciekawie swojego czasu czytane „Wspomnienia podchorążego“, — zresztą zawsze i stale wzbraniał się drukować cośkolwiek ze swojej teki.

uż cały stał pod bronią, i czekał ostatniej komendy do wymarszu.

Zdałem generałowi sprawę z mojej misji, nie oszczędzając oficerów wysłanych do budowania mostu. Jeden z nich, major świeżo przez Różyckiego awansowany, Fryderyk Wielhorski, już się znajdował w kwaterze; przykryty płaszczem leżał na sofie, i musiał wysłuchać całej mojej filipiki, ale zawsze śpiącego udawał. Wręczyłem ekspedycję ks. Adama, z komentarzem Działyńskiego. Generał przeczytał, i wydał natychmiast rozkazy, ażeby maszerować prosto do Słupi miasteczka u podnóża gór Śt. Krzyskich leżącego.

Dla oczekiwania i bezpieczeństwa ks. Adama i niektórych posłów co się korpusu Romarina trzymali, — nie mogąc pomimo kilkodniowego okropnego zmęczenia, ani chwili wypocząć; —musiałem głodny siąść zaraz na konia, i wraz ze sztabem maszerować.

Zawieszenie broni między Rydygerem a naszym korpusem ciągle istniało. W Słupi, nie zastaliśmy jeszcze ks. Adama i jego towarzyszy, którzy dopiero w nocy nadjechali, przyprowadzeni przez okolicznych obywateli.

W obozie porobione wszelkie możliwe kroki, dla zabezpieczenia się od napadu. Trudne to było zadanie w naszym dość niesfornym, z młodego żołnierza po większej części złożonym korpusie. Największa część służby w takich razach, spadała na kilku oficerów ze sztabu, na których rachować mógł generał, a do tych ja, Kajetan Rulikowski i młody Edward Chamiec się liczyli.

Objechawszy wedety, zmęczony okrutnie, spać się położyłem w jednej z karczemek miasteczka. Ledwie sen błogi, ołowiany, opanował rozstrojone członki, i uspokoił rozdarty wrażeniami umysł, wpada do kwatery oficer ze sztabu; przebudza mnie nie bez wielkiej pracy, oświadczając: że generał wraz z księciem Adamem wzywają mnie natychmiast do siebie. Umywszy sobie dla wybicia się ze snu twarz zimną wodą, poszedłem, klnąc zwyczajem moim po cichu, dla ulżenia serca, i potykając się co chwilę, po rozrucanych po rynku i drodze kamieniach; bo noc była ciemna jak w lochu.

Główna kwatera, była w domu należącym do opactwa Śto-Krzyskiego. Obszerna budowa złożona z kilku izb z jednej i drugiej strony, środkowej sieni, wystawiona starannie z drzewa modrzewiowego, które przeważnie pokrywa wszystkie Śto-Krzyskie góry. — Po lewej stronie tego domu mieszkał zwykle z rodziną ekonom klasztoru; prawa wygodnie i czysto umeblowana służyła dla opata i świadczyła, że mnichy nie pogardzają przyjemnościami życia; bo i wszelkie siedzenia dostatnie i miękkie, i komin marmurowy obszerny, koło którego kilka osób zasiąść swobodnie mogło, i parę szaf starożytnych napełnionych rozmaitem naczyniem do jedzenia i picia służących, znajdowały się na uprzywiljowanych miejscach.

Zastałem generała rozmawiającego po cichu z siedzącym przy kominie, i piszącym zwyczajem swoim, jakieś notatki na kolanie ks. Adama. Generał przedstawił mnie księciu, który grzecznie mnie powitawszy, wziął się znowu do pisania. Po prezentacji wziął mnie generał na stronę. „Wiem, rzekł ileś się namęczył przez te kilka dni ostatnich; ale znając twoją wytrwałość i gorliwość, nie rozkazuję ale proszę, żebyś natychmiast pojechał do Kielc i przywiózł p. pułkownika Zabiełłę, który się tam znajduje. Rozkaz i ekspedycja od księcia wkrótce będzie wygotowaną — konie już czekają; a tymczasem posil się tem, czem nas poczciwi księża raczą.“

(C. d. n.)

KAPRYSY.

I.
Cichutka pani.

Na świecie gwary i swary,
Wojenny okrzyk i jęki,
W noc ciemną — jasne pożary,
W dzień biały — oręża szczęki;
Grzmi w dali grom bożej kary,
Płacz ludzki — głuszy piosenki!

A u mnie w sercu zacisze,
Tam fjołek i niezabudka,
Najsłodszą wonią swą dysze;
Dusza ma cicha jak łódka,
Co się na falach kołysze
W tej łodzi Pani Cichutka.

Po nad nią nieba krawędzie
Pokoju złączone tęczą,
Przed nią dwa białe łabędzie;
Ona nić trzyma pajęczą;
I jasne dni moje przędzie.

Na nić tę patrzą z pomroku
Zawistne siostry trzy — Parki
Chcą iść... lecz toną w Jej oku
Błękitnem — śmierci żniwiarki —
Stoją... pod niemi Czas szparki
Mija jak wody potoku.

Taką ma władzę ta biała
Wpatrzona w kwiatów kobierce,
W wieczystej z gwarem rosterce,
Zda się cichutka, nieśmiała —
A jednak zakląć zdołała:
Śmierć samą... i moje serce!

II.
Nad otchłanią.

Codziennie patrzę w około
Długo błędnemi oczyma,
I widzę, że wyjścia niéma
To przy nas przepaści koło.

I zmrużam oczy strwożone...
Lecz schodzisz ty — jak sen błogi,
I cały w ustach twych tonę
Bez myśli jutra i trwogi...

Tak wśród gór dzikich zbłąkany
Wędrowiec, — gdy noc już bliska —
Widzi w około urwiska
I nagie ostrych skał ściany...

Nadzieją wyjścia się łudzi —
Lecz w próżnej pogoni za nią
Zasypia po nad otchłanią,
Nie wiedząc, gdzie się obudzi!

III.
Oczekiwanie.

Widziałem gwiazdy o wschodzie,
Jak słońca czekając, bladły,
Widziałem kwiaty w ogrodzie,
Jak cienia czekając, więdły,
Widziałem: jak nocne chmury,
Na księżyc ciemną sieć przędły,
Widziałem: ptaki się kładły
Czekając wschodu purpury,
A wschód drżał w oku u Boga
Czekając pieśni słowiczej;
I dzień znów młody widziałem
Witany zachwytem ziemi...
Każdy wziął z nieba... co życzy,
Natura w stworzeniu całem
Nikomu nie była dłużną —
Ja tylko pełen goryczy
Nad moją dolą płakałem,
Bom i ja czekał z wszystkiemi
Czekałem, na ciebie, droga,
Sam jeden tylko — napróżno!

IV.
Płaczki.

Łzawnicą serce jest moje
Nad niem od rana do zmroku
Płaczek rozjęcza się dwoje,
O wiecznie pełnem łez oku.

Jedna włos złoty wyrywa
I piersi białe rozrania...
Ach, już nie ujrzy świtania!...
Ta się Nadzieją nazywa...

A druga przez mgły wilgotne
Wciąż Boga dojrzeć się stara:
Lecz niebo dla niej — samotne...
Ach, ta się nazywa Wiara!

Przez ciebie najęte obie,
Płatne z twej ręki wspaniałej,
Ażeby długo płakały,
Na naszej Miłości grobie.

Wł. Ordon.

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

ROZDZIAŁ II.

(Ciąg dalszy.)

Pomieszkanie to znajdowało się na przedmieściu, i łączyło w sobie komfort miejski z przyjemnościami wiejskiemi. Składało się z dworku dość okazałego, oddzielonego od ulicy pięknemi żelaznemi sztachetami i podwórzem ozdobionem gazonami i kląbami kwiatów. Ściana z dzikiego winogradu zasłaniała leżące na boku zabudowanie gospodarskie, za dworkiem zaś rozciągał się ogród dość obszerny, starannie utrzymany i otoczony parkanem. Pani Podwalska najmowała tę realność po części dla świeżego powietrza, po części z oszczędności, aby nie zajmować droższego pomieszkania we własnej kamienicy w mieście, poczęści zaś dla tego, aby nie mieszkać pod jednym dachem z lokatorami, których obyczaje religijne i domowe nieraz niejedno pozostawiały do życzenia. Jeden z nich jadał mięso w samą wilję Wniebowzięcia, o drugim wiadomem było, że nie bywa nigdy w kościele, trzeci nakoniec większe jeszcze dał zgorszenie, albowiem wydał córkę za luteranina. Pani Podwalska przedsiębrała kilka razy puryfikację, i pozbywała się tych niedowiarków, ale cóż, po złych katolikach sprowadzali się bezwyznaniowcy, a gdy tych awizowano, kamienica długo stała pustką i nie niosła intraty, aż nakoniec władza dla ściągnięcia zaległości podatkowych zaprowadziła sekwestr i powynajmowała apartamenta bez najmniejszego względu na uczucia i przekonania właścicielki domu. Od tego czasu pani Podwalska wyprowadziła się na przedmieście, odprawiwszy poprzednio za radą ks Stodolskiego dziewięciodniowe nabożeństwo na intencję nawrócenia się tych wszystkich, dla których państwo jest jedynym bogiem, a fiskus jego najwyższym prorokiem, i którzy mniemają, iż godziwą jest rzeczą grabić bliźniemu jego dochody z innego powodu, jak z powodu nieuiszczenia dziesięciny, mesznego, lub tym podobnych danin. Ksiądz Stodolski znajdował zresztą, iż ustronie w którem schroniła się była ta zacna matrona, jest nadzwyczaj miłem — często też dla wytchnienia wyszedłszy na przechadzkę, kierował kroki

swoje w tę stronę, bez względu na porę dnia lub roku. Wypadek taki zdarzył się był właśnie w chwili, w której i pan Alfred powziął zamiar podobny i wykonywał go pieszo, z przyczyn zbyt może jasno wyłuszczonych, wzgardziwszy ofiarowaną mu natrętnie pomocą rozmaitych dorożkarzy i fiakrów. Pani Podwalska, pod wielką parasolką ciemnobrunatnego koloru, wydawała rozkazy stróżowi, zajętemu nateraz w charakterze ogrodnika na kląbach przed dworkiem, gdy ksiądz Zygmunt przechodził poprzed sztachety i ujrzawszy ją, wstąpił na moment. Pani Podwalska podwójnie była wdzięczną przypadkowi, który to sprawił, jeżeli bowiem zawsze pragnęła z świętobliwych ust tego wzorowego kapłana czerpać światło nadziemskiej prawdy i nauki, to dzisiaj, jak mówiła, ciężyło jej coś szczególnie na duszy i niezmiernie potrzebowała jego rady. Gdy więc oglądnięto dalie, balsaminy, narcyzy i rezedy, i gdy przecudna pogoda zapraszała do pobytu na dworze, pani Podwalska poszła z księdzem do ogrodu i tam wynurzyła przed nim stan swojego sumienia.

Powodem jej strapień była Helenka. Nie ulegało to już żadnej wątpliwości, że podobała się niezmiernie panu Zameckiemu. Nie byłoby w tem nic złego, owszem, partja pod każdym względem świetna. Jeden tylko, ale bardzo ważny nasuwał się skrupuł zacnej matronie: czy można wydawać córkę za farmazona, za jawnego bluźniercę, które o dusza ponoś na wieki już jest potępioną i stwardniała w grzechu, jak glina w ogniu piekielnym?

Ksiądz Zygmunt bez wahania się uspokoił panią Podwalską w tej mierze. Niejedna święta pańska bywała żoną takiego grzesznika, i nieraz zdarzało się, że była ona pośredniczką cudu, albowiem poganin przejrzał jak Szaweł i nawrócił się. Co do p. Zameckiego nie ma wprawdzie tej nadziei, należy atoli uwzględnić, że Niebo pokarało go bogactwami, któremi jak wielbłąd objuczony, nie wnijdzie do królestwa wiecznego. Zostaną one tu na ziemi, i obrócone być mogą na chwałę bożą. Synowie szatana bywają częstokroć szczodrobliwymi dla swoich żon, jeżeli te są pięknemi, i panna Helena może się stać narzędziem, za pomocą którego złoto Lucypera już za życia pana Tadeusza w znacznej części obrócone być może na świętobliwe cele. Po śmierci zaś, która długo omijać nie może jawnogrzesznika, jej niewątpliwie zapisze majątek, nie ma bowiem bliższych krewnych, a dalsi sami posiadają znaczne majątki. Należy atoli użyć wszelkiej przezorności, i zniewolić go, ażeby przed ślubem część majątku darował, albo przynajmniej zapisał żonie. Wszystko to można uczynić, byle intencja była czystą, i skierowaną ku największej chwale Pańskiej.

Pani Podwalska nie wątpiła, że Helena, zostawszy raz panią Zamecką, zdoła wprawdzie nie nawrócić męża, ale zawsze nakłonić go do wielu ustępstw, przedewszystkiem zaś dysponować jego kasą, nader dobrze napełnioną i niezbyt szczelnie zamkniętą. Lecz tu nie koniec skrupułów. Wszak księdzu Zygmuntowi znanym jest aż nadto dobrze ten nieszczęsny stosunek Heleny z p. Zgorzelskim. Po tem, co się stało, głos ludzi i głos sumienia nakazuje nie zrywać z nim — byłoby to może grzechem śmiertelnym!

Ksiądz Zygmunt, w odpowiedzi, rzucił na panią Podwalską surowo strofujące spojrzenie. Był on pasterzem dusz i lekarzem sumień takim — jeżeli się godzi używać tu świeckiego porównania — jakimi bywają nieraz lekarze ciała. Nie cierpią oni, ażeby chory użalał się na objawy bolesne, o które go nie pytali, i których mu doświadczać nie pozwolili. Chory, który ma apetyt na słodkie potrawy wówczas gdy nauka twierdzi, że powinien pożądać kwaśnych, jest już nader niesfornym pacjentem — gdyby zaś ośmielił się czuć gorąco w chwili, gdy zdaniem lekarza powinien mieć zimne dreszcze, byłby buntownikiem przeciw powadze nauki i miałby się z pyszna. Podobnie i ks. Stodolski nie cierpiał, by sumienie jego owieczek przemawiało z własnej inicjatywy, najmniej zaś, by poważało się ustawiać samo djagnozę grzechu śmiertelnego, która była jego rzeczą, jako spowiednika. Nie tylko więc wzrokiem, ale i słowy ostremi skarcił panię Podwalską za to, co nazwał rozpaczaniem o miłosierdziu bożem i o władzy kościoła, wobec której gładzą się i nikną grzechy najśmiertelniejsze, jak wrzód pod żelazem chirurga. Snać atoli szatan zwątpienia zbyt głęboko utopił był swoje szpony w sercu tej niewiasty, jakkolwiek bowiem skruszona wiła się prawie w prochu pod gromami wymowy ks. Zygmunta, i płakała, i całowała go w rękę tak, że druty ciemnobrunatnej parasolki dostały się w niebezpieczne sąsiedztwo z jego anielskiemi oczami — jednakowoż zawołała z łkaniem:

— Księże! Ojcze! Przebacz — ta myśl trapi mię pomimo mej woli, ona mię prześladuje nocami — lęk jakiś okropny sen mi odejmuje! Wierzę mocno, że grzechy mogą być odpuszczone, przebaczone, odpokutowane, ale powiedz mi ojcze, powiedz, że tutaj grzech nie trwa ciągle, że obraza Boga jest zmazaną! Wszak to dziecko, to dziecko, o którem wiesz księże — ono żyje, wyrzucone na nędzę, na hańbę, na znęcanie się i urągowisko obcych ludzi! Gdybym przynajmniej wiedziała, gdzie ono jest, przytuliłabym je, zajęłabym się niem — wszak to dziecko mojej córki! Ach, czemuż Helenka tak chciała koniecznie, czemu kazała wziąć je, zgubić gdzieś bez śladu! Ona jakaś silniejsza jest odemnie, nie czuje tego, czy lepiej umie ukryć swoje uczucia — wszak nieraz padałam jej do nóg, całowałam ją po rękach, błagałam ją o to dziecię! Od sześciu lat, ani modlitwa, ani twoje słowa i napomnienia ojcze, nie mogą odpędzić odemnie tej myśli; nieraz gdy na chwilę zostanę sama, słyszę jak coś kwili żałośnie, i wiem, o wiem dobrze, że to temu dziecku ktoś wyrządza krzywdę, ktoś obcy, zły, nieczuły. Niestety, Helenka jest nieubłaganą!...

— Napisano jest: jeżeli cię gorszy twoja ręka, utnij ją; jeżeli cię gorszy twoje oko, wyłup je! Helena ma słuszność, stało się złe, ale naprawiać go nie można, bo toby dało zgorszenie. Dziecię to jest dziecięciem grzechu — precz z niem, a jeżeli cię to boli, znoś twój ból jako pokutę i karę niebios, i słuchaj kościoła, aby ta pokuta i kara nie dosięgła cię tam, gdzie już nie ma przebaczenia! Przestań więc pani jęczeć i płakać, i myśl lepiej o przyszłości swojej córki, którą naraziłaś i jeszcze narazić możesz twoją słabością. Miej pani zawsze w myśli to, co ci już tylekroć mówiłem. Potrzeba wam środków materjalnych, których wam wkrótce zabraknie, a bez których nie zdołacie dać Bogu zadośćuczynienia za wyrządzoną mu obrazę. Bóg sam podaje wam te środki; bierzcie je i czyńcie co możecie na jego chwałę.

— Ale czy uda się wziąć? — zagadnęła pani Podwalska, która powoli przychodziła do siebie, dzięki bezwzględnej ufności, jaką pokładała w księdzu. — Zamecki może się dowiedzieć...

— Zamecki, o ile uważam, zbyt jest zajęty Heleną, by dał wiarę pogłoskom, które musiały już dojść do jego uszu. Potrzeba atoli postępować sobie z nim roztropnie. Pani mianowicie, powinnaś okazywać się niechętną jego zabiegom, tak, aby Helenka na oko wbrew woli pani przyrzekła mu rękę. Powiesz mu pani, że sumienie nie pozwala ci dawać własnego dziecka człowiekowi bez religji. To podnieci go coraz bardziej, i obudzi w nim nadzieję, że wydzierając ci córkę, wydrze ją oraz kościołowi. Cel dobry i chwalebny pozwala dopuścić się tej niewinnej obłudy. W końcu ulegniesz pani prośbom córki i jego naleganiom, ale pod warunkiem, aby dał pewną sumę na przytulisko dla chłopców, które zamierzają utworzyć tutaj księża Zgromadzenia apostolskiego Św. Jakóba z Kompostelli. Niechajby dał dwadzieścia tysięcy, nie zrobi mu to uszczerbku. Chłopcy ci mają uczyć się rzemiosł, to pochlebi jego materjalistycznym przekonaniom — a ponieważ przedewszystkiem zbudowaną być ma kaplica, więc pani będziesz miała wielką, bardzo wielką zasługę przed Bogiem.

Pani Podwalska raz jeszcze ucałowała rękę ks. Zygmunta, i nazwała go swoim dobrodziejem, swoim pocieszycielem, swoim aniołem-stróżem, dziękując mu za jego ojcowskie rady. On zaś błogosławiąc złożył ręce nad jej głową, uśmiechnął się dobrodusznie i rzekł:

— Moja duszyczka bardzo jeszcze słaba i chwiejna w wierze, ale modlitwa i łaska poświęcająca zrobią swoje! — Poczem przyjął zacny kapłan zaproszenie na kawuńcię z doskonałą śmietanką, bo pani Podwalska, mieszkając na przedmieściu, trzymała własne krowy.

Zapyta kto może, dla czego ks. Zygmunt nie pozwolił p. Podwalskiej pójść za popędem serca w tej sprawie, która ją tak szczerze i głęboko trapiła? Może nie miał nadziei, by się udało ugiąć Helenę, a może był tego zdania, że gdyby pobożne owieczki nie miały ciągłych zgryzot i wyrzutów sumienia, to nie dość często uciekałyby się do duszpasterza i wskutek tego osłabłyby w wierze.

Podczas gdy tak dramatyczna scena odgrywała się w ogrodzie, widownią jeszcze dramatyczniejszej było wnętrze dworku p. Podwalskiej, do którego wpadł był p. Alfred w chwili, gdy ona wraz z ks. Zygmuntem udawała się do ogrodu. Ks. Zygmunt degustował już kawę, zbierając kożuszek grzanką, gdy jeszcze odgłos nader ożywionej rozmowy dolatywał do jadalnego pokoju z budoaru panny Heleny. (C. d. n.)

Przegląd podróży i odkryć w świecie arktycznym,

zestawił

L. Tatomir.

(Ciąg dalszy.)

Nazajutrz dowiedzieli się obaj podróżnicy, że po przeciwnej stronie rzeki jest istotnie osada, i że przy niej stoi kilka statków na kotwicy, a pomiędzy temi i parowiec zostający pod komendą kap. Mathiesena. Kap. Mathiesen, niegdyś oficer w służbie rossyjskiej i towarzysz młodszego Krusensterna w jego nieszczęśliwej wyprawie na morze Karyjskie, przyjął ich nader uprzejmie, ofiarował im gościnę na swoim statku, aż dopokąd nie będą mogli w dalszą udać się podróż, której ułatwieniem sam się zajął. Mieli też sposobność poznać Sidorowa, który tegoż dnia tutaj przybył, ażeby odwiedzić swoją kolonję Aleksiewską.

Sidorow, najbogatszy i najczynniejszy kupiec rossyjski w tej północnej stronie, znany ze swoich wypraw na morze Karyjskie i noszący się z planem utworzenia wielkiej drogi handlowej pomiędzy Obem a Peczorą przez Ural, założył po rozwiązaniu floty rossyjskiej na morzu Białem wielki skład drzewa przy zatoce Bołwańskaja, dokąd spławiał materjał z wielkich borów nad górną Peczorą, aby go ztamtąd rozwozić do Archangielu, Norwegji i Anglji. Ale gdy wezbrania rzeki w czasie znoszenia lodów kilkakrotnie skład ten zniszczyły i wszystko drzewo zabrały, przeniósł zakład swój w r. 1870 wyżej na południe, w miejsce, gdzie założył osadę na cześć carewicza Aleksandra Aleksiewką nazwaną. Aleksiewka leży nad głównem korytem Peczory, 40′ głębokiem, którego brzeg ubezpieczony jest w tem miejscu od wylewów pilotami. Osada cała składa się z 50 sążni długiej kazarmy, urządzonej na pomieszczenie 200 robotników, z kilku drewnianych domów, cerkwi, łaźni parowej i ze spichrza. Parowiec Jerzy, będący własnością zakładu, służy do remorkowania przybywających i odpływających okrętów żaglowych. Komendant tego parostatku, kap. Mathiesen, jest zarazem administratorem całego zakładu. Zimową porą nadzoruje on cięcie borów, a w czasie wielkiej wody na wiosnę spuszcza spławy do Aleksjewki. Drzewo i łososie są jedynemi przedmiotami do wywozu tej pustynnej okolicy i handel niemi, dzięki staraniom Sidorowa, na coraz większe rozwija się rozmiary.

Za radą kap. Mathiesena postanowiono odesłać zaraz Isbiörn do Norwegji, a tylko Wilczek, Sterneck i Höfer, w towarzystwie obu strzelców hrabiego, mieli pojechać w głąb kraju aż do Czerdyna a ztamtąd na Kazań, Niżny Nowogród, Moskwę i Petersburg powrócić do domu. Nie tracąc czasu, udali się zaraz obaj podróżnicy na swój okręt, aby przygotować się do dalszej podróży. Dnia 5 września po serdecznem pożegnaniu z kap. Kjölsen przesiedli się na pokład Jerzego, który powracając od przylądka Konstantynowskiego, koło Isbiörna zarzucił kotwicę, i przy radośnych „hura“ majtków norwegskich i rossyjskich, którym towarzyszyły salwy działowe, rozstały sia oba okręty. Powróciwszy do Aleksjewki, zatrzymali się tam jeszcze dwa dni, oczekując ukończenia przygotowań do dalszej podróży, i użyli tego czasu na bliższe poznanie jej mieszkańców.

„Robotnicy w Aleksjewce — pisze dalej br. Sterneck — są Syrjeni, różniący się na pierwszy rzut oka od Moskali, którzy pełnią tu służbę nadzorców. Oprócz nich spotkaliśmy tu tylko jednego Samojeda i jednego Ostjaka, który odszczególniał się od swoich towarzyszy wyrazem twarzy więcej inteligentnym. Byłto mężczyzna średniego wzrostu, lekkiej, ale muskularnej budowy, miał bląd włosy, oczy niebieskie niezmiernie żywe i profil grecki. Przedstawiono go nam jako największą osobliwość osady, i rzeczywiście bawił on nas nietylko swoim tańcem, lecz bardziej jeszcze śpiewem, w którym opiewał przygody swego koczowniczego życia. Pochodząc z nad rzeki Ob, włóczył on się po całej Syberji, jużto robiąc w kopalniach złota i żelaza, już pasając trzody renów, aż w końcu oparł się w zakładzie Sidorowa nad Peczorą. W zakończeniu swojego opowiadania wyraził radość z powodu spotkania w tych śnieżnych stronach dostojnych gości z tak dalekiego kraju, o których nieomieszka opowiadać swoim rodakom. Opowiadanie jego musiano nam oczywiście tłómaczyć, ale jego żywa giestykulacja i wyraz twarzy, zastosowywany da opisywanej sytuacji, bardzo nas zajmowały. Najzabawniejszą była ta część, w której opiewał Samojedów. Obecny temu Samojeda, albo potakiwał, albo głośne robił zarzuty. Stał on ciągle na boku w posępnem milczeniu, aż dopokąd znaczna porcja wódki nie rozwiązała i jemu ust do śpiewu, a nóg do tańcu z Ostjakiem. Śpiew jego był jednak więcej monotonnym i mniej ożywionym niż jego towarzysza. Pieśni, utrzymujących się tradycyjnie pomiędzy ludem, nie mają ani Samojedzi, ani Ostjacy, ale zato opiewają improwizując wszystko, co uderzy ich zmysły. Taką improwizacją były owe wspomnienia z życia Ostjaka i druga pieśń, w której opiewał zalety rena. Tylko jedną sagę Samojedów śpiewali wspólnie. Byłato pieśń, wyrażająca tęsknotę za jakimś zagadkowem krajem, mającym łączyć Nową ziemię z Spitzbergen, którego oni już teraz z renami swojemi odwiedzać nie mogą i do którego jeszcze tylko kaczki i gęsi zalatują.“

Tymczaaem ukończono przygotowania do dalszej drogi. Sidorow ofiarował podróżnikom austrjackim dwa czółna pokryte deskami i opatrzone podłogami i masztami, dając im zarazem Dymitra Kocowa na tłómacza, który im był nieniezbędnie potrzebnym, gdyż żaden z nich ani słowa po rossyjsku nie umiał. Dymitr był rodem i Archangielu, gdzie mając jako majtek i sternik stosunki z angielskiemi okrętami, które tam zawijają po tran, łososie i drzewo, nauczył się po angielsku. Był on przy tem ze stosunkami miejscowemi doskonale obznajomiony, umiał sobie we wszystkich okolicznościach poradzić, a nadto wszystko jeszcze posiadał sztukę kucharską.

„Dnia 7 września opuściliśmy Aleksjewkę na statku Sidorowa, który miał nas odwieść jeszcze tylko do najbliższej stacji. Wieczorem zarzuciliśmy kotwicę w rybackiej przystani u wsi Kuji, leżącej na prawym brzegu Peczory u ujścia dopływu jej tejsamej co wieś nazwy. Wioska ta składa się z 30 chat, które wysoki w tem miejscu brzeg chroni od wylewów, a dokoła otaczają nagie piaszczyste zaspy. Mieszkańcy jej są, jak wszystkich wsi na prawym brzegu Peczory poniżej Zylmy, potomkami wychodźców wielkonowogrodzkich, którzy niegdyś, po okropnem obaleniu ich rzeczypospolitej przez Iwana II, szukali w tych odludnych stronach schronienia przed krwawem prześladowaniem. Chłopi tutejsi noszą też do dzisiaj nazwiska najdostojniejszych rodzin bojarskich z owych czasów, mają świadomość swojego pochodzenia i dawnej niepodległości, która przebija się w całym ich charakterze, w szlachetnem poczuciu godności, w uprzejmości, w niezłomnej słowności i w gościnności. Domy ich drewniane podobne są na pierwszy rzut oka do domów szwajcarskich. Wszystkie są jednopiątrowe i mieszczą pod jednym dachem mieszkanie i stajnie. Fronty ich przystrajają wycinane z drzewa ozdoby, a umieszczone zewnątrz schody prowadzą nakryte werandy. Piątro zamieszkuje gospodarz z rodziną. Ma ono zwyczajnie cztery lub pięć izb, z których jedna przeznaczona jest na przyjęcie gości. Na dole mieści się czeladź i znajduje się śpiżarnia. Jeżeli rodzina nie jest zbyt liczna, to tylna część piątra, znajdująca się nad stajnią, używaną bywa na skład siana. Izby odznaczają się czystością; gościnne wyklejone są pospolicie tapetami i przystrojone mnóstwem obrazów świętych i widoków słynnych w okolicy klasztorów. W kącie naprzeciw drzwi wchodowych jaśnieje najokazalszy obraz patrona lub patronki domu, przed którym płoną świece lub lampy. U uboższych włościan, którzy nie mają tak obszernych pomieszkań, znajduje się zazwyczaj nad olbrzymim piecem, zajmującym pospolicie czwartą lub nawet trzecią część izby, przepierzenie, służące za sypialnię. Ale i najuboższe chaty zbudowane są mocno i porządnie z grubych pni sosnowych, pomiędzy któremi są wszystkie szpary szczelnie mchem pozatykane; mają okna oszklone, są suche i ciepłe. Byliśmy zachwyceni czystością, którą znajdywaliśmy wszędzie, i uprzejmością, z jaką nas ci poczciwi ludzie zapraszali, abyśmy oglądali ich pomieszkania i obejścia.

W Kuji zobaczyliśmy pierwsze bydło, a mianowicie krowy, właściwej tym stronom, małej rasy bez rogów, które miały wymiona obrośnięte gęstym włosem, i nędzne kudłate owce. Przy każdem obejściu spostrzegaliśmy psy i mnóstwo srók, które całemi stadami, jak u nas wróble, krążyły około domów i po ulicach wsi. Rozległe pastwiska sprzyjają tu hodowli bydła, ale owcom pasze te nie służą. Toteż bogactwem tutejszych mieszkańców nie jest chów naszego bydła rogatego, lecz renów, których tutaj zamożniejsi gospodarze ogromne trzymają trzody. I tak nasz gospodarz, Jerzy Michajłowicz Gagarin, jeden z najmajętniejszych włościan w Kuji, posiadał 15.000 renów, które podówczas były jeszcze na paszy letniej na wyspie Wajgacz. Inni włościanie mieli trzody po 1000 i więcej sztuk. Mięso i mleko renów jest głównem pożywieniem krajowców; ze skór ich robią zimową odzież, a prócz tego prowadzą niemi jak również kośćmi i rogami intratny handel. Skupują je ajenci Sidorowa, który je odstawia do Anglji. Z żył tych zwierząt wyrabiają nici i sznury na potrzebę domową. Ponieważ uprawa roli pod tą szerokością geogr. jest niemożliwą, więc jedynem zajęciem mieszkańców jest myśliwstwo i chów renów, których trzody powierzają pieczy Samojedów. Zboże i różne inne artykuły do życia potrzebne dowożą im kupcy z Czerdyna, ale nie sprzedają za gotowy pieniądz, lecz mieniają za ryby, futra i inne płody miejscowe.

Odwidziliśmy też tutejszego popa, który oprócz obowiązków ze stanem swoim połączonych pełni funkcje urzędnika sądowego i politycznego, gdyż oprócz niego nie ma żadnej innej władzy we wsi. Oglądaliśmy cerkiew, jedyny w całej osadzie budynek wzniesiony z kamienia, którym też cała gmina się szczyci i stara się o jego przyozdobienie. Zdziwił nas zato zaniedbaniem cmentarz. Jestto puste wydmisko piaszczyste, bez żadnego ogrodzenia, które Peczora w czasie większych wezbrań zatapia, wymulając często przytem ciała nieboszczyków. Po piaskach, pomiędzy połamanemi krzyżami, walały się też próżne trumny i kości ludzkie, co na nas nadzwyczajnie przykre zrobiło wrażenie. Na zapytanie o przyczynę tego opuszczenia, otrzymaliśmy odpowiedź: „To już umarli — czegoż im więcej potrzeba?“

Oglądnąwszy wieś, udaliśmy się do koczowiska Samojedów, rozłożonego za wsią na brzegu Peczory. Zdaleka już spostrzegliśmy czarne stożkowate namioty, czyli czumy, ustawione rzędami w małych od siebie odstępach. Z niektórych wznosiły się kłęby dymu. U stępu powitały nas małe psy, stróże obozowiska, przeraźliwem szczekaniem, a na to hasło wysypało się mnóstwo

ciekawych z namiotów. Budowa czum jest bardzo prosta. Składa się ona z żerdzi wbitych głęboko w ziemię, a u szczytu razem związanych. Żerdzie te przeplecione są jakoby kosz wierzbowemi prętami, a płot ten okrywa latem poszycie z kory brzozowej, w zimie zaś ze skór reniferów. Przed każdym namiotem stoi kilka sań, na których złożone są skóry i różne inne zapasy ubogiego gospodarstwa właściciela czumy, z któremi gotów on jest każdej chwili wyruszyć w koczowniczą wędrówkę. Weszliśmy do jednego z tych namiotów, którego mieszkańcy mniej byli ciekawi i nie dali się naszem przybyciem oderwać od codziennych zajęć swoich. Wnętrze, mające około 2 sążnie średnicy, wydało nam się schludniejszem, niżeśmy się spodziewali. Dokoła plecionych ścian uścielone były skóry renów, na których właśnie podówczas siedziały dwie kobiety zajęte szyciem butów i przerabianiem żył renów na nici, a obok nich bawiło się dziecko. Pośrodku na drewnianym haku zawieszony był kociołek, w którym teraz gotowała się jakaś juszka. Wizerunek chrześciańskiego świętego podzielał opiekę nad mieszkaniem i mieszkańcami z bałwanem pogańskim, stojącym tuż pod obrazem. Dzieci pyzate i rumiane, widocznie dobrze żywione, o włosach jasnych jak len, przypatrywało nam się ciekawie, śmiejąc się wesoło, podczas gdy obie kobiety, których nadzwyczajnie małe ręce nas uderzyły, zajęte były ciągle swoją robotą, nie zważając bynajmniej na nasze przybycie.

(C. d. n.)

POGADANKI.

V.

„Pends-toi, brave Crillon, — pisał Henryk IV. do dzielnego swojego towarzysza broni — *nous avons combattu à Argues, et tu n'y étais pas!*" Temi słowy przywitać można każdego, co opuścił bal akademicki, stoczony we wtorek pod portretem śp. barona Jachimowicza w sali Domu Narodnego. Temi słowy przywitał i mnie nazajutrz po tej walnej bitwie pewien entuzjasta, którego wysłałem był na ten pierwszy ogień, zaopatrzywszy go w moje błogosławieństwo i w kilka rad ojcowskich. Sam bowiem należę już tylko do pospolitego ruszenia, a zresztą, ćwiczę się teraz w mizantropji i innych cnotach towarzyskich i domowych — kolej przyjdzie na mnie dopiero, gdy polegną młodsi. (Tym razem, poledz miała tylko jedna para, ale piękny przykład, którym zaświeciła przy tej sposobności, powinienby znaleść naśladowców.) Wyznać jeszcze muszę, że waleczności mojej kładła tamę kolacja, o której przewidywałem, że nie wytrzyma najlżejszej krytyki; to też zapewniano mię, że najpesymistyczniejsze przepowiednie w tej mierze były jeszcze zbyt różowemi nadziejami. Ale któż widział zaczynać sprawozdanie z balu od restauracji? Otóż pominąwszy ten szczegół zbyt materjalistyczny, bal wypadł tak wybornie, jak tego najstarsi danserowie i najst.... przepraszam, chciałem powiedzieć, jak tego ojcowie i matki danserów i danserek nie pamiętają. Sto par tańczyło, a kontyngensu piękności oprócz Lwowa dostarczyły najżyźniejsze okolice kraju: Podole, ziemia przemyska, itd. itd. W takich warunkach, pretendentek do djademu królewskiego musiało być więcej, niż w Hiszpanji albo we Francji pretendentów. Mój wysłannik, młodzieniec nieskażonego gustu i wielki w skutek tego wielbiciel kwiatów polnych, zeznał w śledztwie, że pewne pudrowane loki, spływające na kibić ujętą w błękitny jedwab, owiany po wierzchu białą gazą, nie pozwoliły mu widzieć nic więcej w całej sali. Tak wśród bujnego łanu pszenicy, bławat wabi oko przechodnia, gdy wietrzyk słodko powiewa od szczytów Miodoboru, gdy świeci „jasne słońce nad Podolem." Z innej strony dowiedziałem się, że nie brakło tam i egzotycznych kwiatów. Nie małe prawa do majestatu królewskiego miała przepyszna, aksamitna wiśniowa suknia, skombinowana z jedwabiem *couleur de pêche*, której miejscem urodzenia były magazyn i pracownia Władysława Lewickiego, i która pożarła pięćset złr. nim ujrzała światło dzienne, a raczej, gazowe. Po tej niedyskrecji, nie śmiem dodawać, kto zadał sobie herkuliczną pracę tańczenia pod pięćdziesięcioma łokciami takiego aksamitu — każdy domyśli się, jakich potrzeba rysów twarzy, jakich oczu, a jakich brwi i rzęsów, aby się podjąć konkurencji z półtysiączkiem przemienionym na wyroby lugduńskie. Konkurencja to nader trudna w oczach „ludzi stulecia," których wszędzie jest najwięcej — chociaż w istocie, trudniejszą bywała konkurencja z muślinem, a tyle świeżych buziaczków wychodziło z niej zwycięsko. Skoro muślin stał się już tylko wspomnieniem przeszłości i nikt o nim nie wspomina, oprócz kuzynki panien Benoiton, wielbmy tarlatan i gazę, bo aksamit i ciężkie jedwabie, wraz z tem wszystkiem, co do nich koniecznie należy, to nader niebezpieczne przybory. Im to zawdzięczamy, że coraz bardziej rozpowszechnia się dobrowolny celibat między mężczyznami, a przymuszony między płcią piękną. W środę np. na własne uszy słyszałem, jak dwunastu niestarych jeszcze kawalerów, wyspawszy się po balu, i oparłszy dwa palce na złożonych w krzyż, pomiętych białych krawatach, przysięgło na Styks, na brodę proroka, na pannę Ziemajer i na wszystko co im miłe i święte, że nie ożenią się póty, póki toalety damskie nie będą zbliżone w cenie do męskich. Wiem, że dotrzymają przysięgi—przynajmniej tedy sześć panien, jakkolwiek skromnie ubranych, skazanych jest na celibat jedynie na podstawie podejrzenia, że wyszedłszy za mąż, zapragnęłyby ciężkich materyj, lekkich koronek, i świecących djademów....

Zanieprzyjaźniłem się tak gruntownie z płcią brzydką, i tak mi potrzeba łaski i opieki pań, że pospieszam dać tutaj małą reprymendę tym spiskowcom. Najpierw tedy, niechaj rozważą, że gdyby żony nasze ubierały się tak tanio, jak my, nie mielibyśmy sposobności pokazać światu, czego może dokazać nasza praca, nasza oszczędność, albo też nasza kaligraficzna wprawa w kreśleniu magicznego wyrazu *„angenommen, N. N."* W najgorszym razie, mniej lub więcej kosztowny strój żony daje mężowi świadectwo, o ile przed ślubem umiał zrobić bilans posagu — a i to coś znaczy w naszych czasach, w których ludzie zakładający koleje żelazne tak są nieopatrznymi, że nie wiedzą później co się stało z tym lub owym miljonem. Żona wytwornie ubrana, jest przeto dla męża najlepszą kwalifikacją na członka jakiej Rady zawiadowczej — a byle nim został, to jak doświadczenie uczy, funty sterling i guldeny spadać na niego będą tak, że nie potrafi nawet powiedzieć, zkąd i za co, gdy go o to zapyta hr. Lamezan-Ciekawski. Powtóre, nie wiem coby się stało z naszemi stosunkami ekonomicznemi, gdyby się jeszcze bardziej zmniejszył u nas obrót pieniężny, już i bez tego nader powolny i mały. Zróbmy małe obliczenie. We wtorek tańczyło sto par, jak wyżej powiedziałem. Zważywszy, że oprócz tańczących było jeszcze wiele innych osób na sali, zważywszy, że nawet najoszczędniejszy danser wyda przy takiej sposobności 15—20 złr. na drobiazgi, z których nazajutrz nie zostanie śladu, i że każda danserka potrzebuje najmniej pięć razy tyle—nie przesadzimy bynajmniej, jeżeli na każdą parę przyjmiemy kwotę 100 złr. jako wydatek, któregoby nie było, gdyby nie było balu. To daje nam okrągłą sumę 10.000 złr. puszczoną w obieg z powodu jednego wieczoru, i przychodzącą w pomoc handlowi i przemysłowi krajowemu. Kupiec bławatny, i galanteryjny, krawiec, rękawicznik, modniarka, szewc, dorożkarz, tapicer, kwieciarka, a nakoniec, ucząca się młodzież obdzielają się tą sumą — część jej wychodzi wprawdzie za granicę, za sprowadzone ztamtąd wyroby, ależ właśnie tylko zbyt mała konsumcja, zbyt ograniczony popyt sprawiają, że kraj sam nie produkuje tego wszystkiego, czego mu potrzeba. Z tego wynika, że wydawanie pieniędzy na miejscu jest czynem patrjotycznym, i że wszystkie panie powinne wysłać swoich mężów na kurs gospodarstwa narodowego, ażeby się dowiedzieli, o ile pożyteczniejszą jest rzeczą wydać w zimie pieniądze na stroje i na bale, aniżeli suwać je aż do lata po zielonym stoliku, aby je później wywieść do Spaa, albo do Monaco, lub też zapłacić niemi dyferencję kursu *„Baubanków."*

* * *

Zacząłem od kolacji, przeszedłem do bławatów i do cudów piękności, a skończyłem na ekonomji politycznej — zdaje się tedy, że już dzisiaj chyba „pogadanka" moja przemieni się w prawdziwą *„silvam rerum."* Radbym w istocie dołączyć tu jeszcze kilka obserwacyj astronomicznych —na nieszczęście atoli, nie ukończono dotychczas porównania i nie zestawiono rezultatu spostrzeżeń poczynionych przy przejściu Wenery przez tarczę słoneczną. W handlu zbożowym nie zaszła także żadna zmiana, któraby mogła zająć moich czytelników. Jurysprudencja zrobiła niejakie postępy, a to w grzeczności. Chodziło o zaprzysiężenie świadków, o których wiedziano powszechnie, że nie powiedzieli całej prawdy, ani też połowy prawdy, a przecież powiedzieli więcej, niż wymagała prawda. Otóż nie powiedziano im wprost, że zeznania ich nie zasługują na wiarę, ale — nie dopuszczono ich do przysięgi. Jaki to postęp od czasu, gdy wojewoda Potocki przysięgał, że nie kazał utopić Gertrudy Komorowskiej!

Literatura usuwa się także z zakresu „pogadanek"—w ostatnich czasach składa się ona wyłącznie ze sprawozdań z procesu Ofenheima. Cztery codzienne pisma polityczne we Lwowie zaopatrują tym artykułem chciwych zawsze czytelników. Pisma literackie — jakkolwiek wolno im także umieszczać rozprawy sądowe, bo to są sprawy społeczne, a nie polityczne — wstrzymały się jakoś od tej pokusy, ale ze szkodą dla siebie, bo mniej teraz pilnie bywają czytywane. Sztuka nakoniec, oprócz „Żyda, którego nie ma w karczmie," dała nam dwa razy „Piękną Helenę," ale ku wielkiemu zgorszeniu „ludzi stulecia" reprezentacje te wypadły jakoś po klasztornemu. Snać rozporządzenie, które wydał w Londynie Lord - Chamberlain (ochmistrz dworu królowej) przeciw kusym strojom baletniczek i zbyt śmiałemu kankanowaniu, odbiło się echem nad Pełtwią. Postanowiono sobie pogodzić moralność, a raczej przyzwoitość z Offenbachem, i uskuteczniono to

w ten sposób, że podczas gdy dawniej małżonka Menelaja nader powiewnym i pobieżnie uszytym strojem wywoływała tęskne rozpamiętywania w duszach mężów obarczonych długiemi rachunkami od Szajera, Knauera i Lewickiego — teraz w jej zastępstwie król mężnych Spartanów ujawniał hipotezę historyczną, że sankiulotyzm jest wynalazkiem dawniejszym od Likurga. Jakkolwiek hipoteza ta jest nader prawdopodobną, zważywszy iż język Hellenów, tak bogaty, nie posiada nawet wyrazu oddającego pojęcie pewnej niezbędnej części ubrania męzkiego, to jeszcze zawsze zostaje wątpliwość, o ile zupełnie nieubrany Menelaus jest przyzwoitszym od niedokładnie ubranej Heleny. Ochmistrz dworu może być w tej mierze innego zdania, a ochmistrzyni innego: potrzebaby zwołać *„judicium masculinum feminino mixtum“*, ażeby rozstrzygnąć tę kwestję. Z punktu widzenia estetycznego jest ona już dawno rozstrzygniętą: Offenbach musi być przedstawiany tak, jak go przedstawiają zagranicą, albo wcale nie; przyzwoitość i moralność nie zyskują bowiem bynajmniej na tem, jeżeli się żart powabny zastąpi żartem brzydkim i niesmacznym. Dodać tu muszę, że nie jeden oryginalny koncept pp. Meilhac i Halevy, dostarczycieli librétów dla Offenbacha, mniej jest rażącym i zuchwałym od lokalnych konceptów, które weszły w modę na naszej scenie, i których kwintesencją jest wymienienie czyjegoś nazwiska albo co gorsza, grubijańska alluzja do wypadku godnego ubolewania. Alluzji takiej pozwoliła sobie niedawno jedna z artystek, i znalazło się przecież w sali kilku widzów z delikatniejszym uczuciem, którzy odpowiedzieli sykaniem na to *inpromptu* zasługujące na radykalne wygwizdanie. U nas Bogu dzięki nie ma jeszcze pola do takich skandalów, jakie się wydarzają między naszymi pobratymcami, „starymi“ i „młodymi“ Czechami w teatrze pragskim. Wszystkie podobne próby we Lwowie zrobiły *fiasco*, dzięki taktowi publiczności.

Jan Lam.

TEATR.

(Obecny stan teatru. — Pani Zimajer i pan Zamojski.— „Książę Niezłomny“. — Przedstawienie „Samsona“.)

Melpomena lwowska posiada tę wspólność z wszystkiemi cnotliwemi istotami, że daje jak najmniej powodu ludziom do mówienia a jeszcze mniej do pisania o sobie, a także i tę drugą wspólność, że się u siebie w domu niczem gorliwiej nie zajmuje, jak plotkami i intrygami wszelkich rozmiarów i wszelkiego rodzaju. Zbyt dyskretni by wnikać w zakulisowy żywot tak przykładnej matrony, musieliśmy od półtora miesiąca, ograniczać się li na zewnętrznych, dla wszystkich widocznych i przystępnych objawach jej żywota i działalności, i chcąc dać ile możności wierny ich obraz, nie pisać nic wcale.... A i dziś, przerywamy nasze milczenie na to tylko, aby je wytłómaczyć i nadal usprawiedliwić. Powrót p. Ładnowskiego i wstąpienie jego jako artysty w skład tutejszego teatru, było dla sceny korzyścią powitaną z radością i entuzjazmem, które to objawy mylnie kładziono na karb spodziewanej jego działalności dyrektorskiej. Cieszono się artystą, nie spodziewano się niczego po dyrektorze.... Przeszłość usprawiedliwiała jedno i drugie (p. Ładnowski był już pierwej raz dyrektorem) a przyszłość przyznała słuszność przeszłości.... Teatr lwowski, jako instytucja artystyczna, wyznajmy to otwarcie, nie zyskał nic na dyrekcji p. Ładnowskiego. Za mało jest być znakomitym artystą, ażeby być dobrym dyrektorem. A w takiej instytucji jak teatr, najznakomitszy artysta nie zrównoważy złego dyrektora. Żal nam szczerze i serdecznie p. Ładnowskiego, jak żal być musi każdemu człowieka z wielkim talentem, rozumem i najlepszemi chęciami, gdy się wplącze w nie swoją rzecz. Mimo to przyznać musimy, że teatr pod kierownictwem p. Ładnowskiego, niczego się nie nauczył i niczego nie zapomniał. To samo niedołęztwo we wszystkiem, ta sama nieporadność, ten sam brak wszelkiego planu i systemu, to samo bytowanie z dnia na dzień, ta sama nieumiejętność w spożytkowaniu środków artystycznych jakiemi teatr rozporządza, ten sam brak jednolitego kierunku artystycznego, ten sam brak uorganizowanego repertoarza obok nieumiejętności należytego wyzyskania go, nie wspominając już nic o wszystkich brakach administracyjnych, o wadliwie niestosownym systemie abonamentów (dla braku abonamentów mięszanych z dramatu i opery), o braku rozsądnej i ruchliwej reklamy teatralnej, tak niezbędnej przy najpomyślniejszym nawet stanie przedsiębiorstwa itd. itd. I dziwić że się tu, że teatr ciągle pusty, że publiczność zniechęcona, że nawet ludziom najprzychylniejszym teatrowi, którzy długie lata wspierali go radą, zachętą i dobrem słowem, dziś już pióro z ręki wypada i zniechęceni wolą milczeć, niżeli bezowocnie rzucać groch o ścianę?....

Wspomnieliśmy wyżej o nieumiejętności dyrekcji spożytkowania sił artystycznych, jakiemi teatr rozporządza. Nieumiejętność taka równa się zupełnie brakowi wszelkich sił, które przecież są, bo kosztują.. Ale w tej mierze względy na dobro sztuki zastępowane bywają względami osobistemi, protekcjami, ambicjami. Wyrugowano n. p. najcelniejsze siły z działu dramatycznego, jak pannę Deryng, panią Nowakowską, p. Edgara — a zastąpiono je takiemi, któreby w innym kierunku wybornie dały się spożytkować, lecz właśnie w tym, w jakim bywają używane, nie są wstanie podołać zadaniu i kompromitują je. Niewłaściwą obsadą kompromitują się sztuki, niewłaściwem używaniem kompromitują się artyści, a wszystkiem razem kompromituje się scena.... I cóż dziwnego że sztuki, których wystawienie wymagało wiele trudów i kosztów, po pierwszem przedstawieniu padają, że artyści złem przyjęciem ze strony publiczności, czując że z niekorzyścią dla siebie bywają używani, zniechęcają się, że publiczność sarka i unika teatru, że krytycy łają tylko lub milczą?....

Przedstawiono „Pana Alfonsa“ Dumasa syna. Sztuka ta w innych teatrach ściągała tłumy publiczności, i mówiąc językiem teatralnym „robiła kasę“. U nas skończyło się na jednem przedstawieniu. A jednak pomimo wątpliwej wartości moralnej i nie wielkiej dramatyczności, sztuka ta posiada wiele zalet scenicznych, któremi, przy dobrem odegraniu, można było zwabić publiczność, zabawić ją i zadowolić. „Książe Niezłomny“ również nie wytrzymał więcej jak jedną reprezentrcję, wskutek fałszywej obsady. I cóż pomoże genjalna gra p. Ładnowskiego w roli tytułowej — na takiem tle?.. O przedstawieniu tem wspomnimy jeszcze poniżej.

A repertoarz? Raz przeciążany bywa aż do znużenia poważnemi utworami, to znów sypie ramotami bez żadnej wartości. Jednego tygodnia Ryszard III, Otello, Książe Niezłomny depcą sobie po piętach, na drugi tydzień Pani Majstrowa z Chorążczyzny króluje samowładnie. Jakiż w tem plan, jaki system w przerzucaniu się z jednej ostateczności w drugą? Dobrych komedyj — prawie jakby nie było. Karnawał — publiczność chce się bawić — i daje to nie dwuznacznie do zrozumienia. Więc dawać jej dobre komedje, dramata salonowe i obyczajowe— dobrze obsadzone i starannie wykonane. Od czasu do czasu można wystawić jeden utwor poważny, klasyczny — ale na przedstawienie jego należy wytężyć wszystkie siły, użyć jak największej staranności. W ten sposób nie skompromituje się w oczach publiczności żadnego działu sztuki, tak, jak np. obecnie zdyskredytowany jest dramat. Tym sposobem uczyni się zadość i sztuce i wymaganiom publiczności a nadewszystko wznowi się dobry smak, wzrośnie zaufanie publiczności, zikną uprzedzenia.

Zarzuciliśmy powyżej teatrowi brak jednolitego kierownictwa artystycznego, lecz bywały przedstawienia, które uprawniałyby raczej do przypuszczenia, że nie ma wcale żadnego kierownictwa. Nie chcę już wspominać o wypadkach, napiętnowanych dostatecznie przez inne pisma, o wypadkach, które tylko rumieniec wstydu i oburzenia wywołać mogą. Zachowanie się jednego z artystów na ostatniem przedstawieniu „Pięknej Heleny“ należało także do rzędu takich wybryków, na które sykanie publiczności było wprawdzie dobitnym lecz zawsze jeszcze zbyt łagodnym sądem. A gdzież jest dyrekcja artystyczna, gdzie reżyser?... Sceny „ensemblowe“ zdradzają najczęściej brak wszelkiego naprzód przygotowania, wszelkiego obmyślenia. Prawda że bywają czasem, bardzo rzadko, przedstawienia staranne nawet w całości. Lecz właśnie wyjątki te w tem jaskrawszem świetle przedstawiają zwykłe w tej mierze praktyki i do tem surowszego uprawniają sądu. Artyści (zwłaszcza drugorzędni) fałszywie wymawiają obce a nawet swojskie wyrazy, nie wczas wychodzą na scenę, nie umieją ról, nie stosownie się ubierają. Przypominam tu przedstawienie „Księcia Niezłomnego“ (zresztą pod względem wystawy dość jeszcze staranne), w którem wojska maurytańskie i hiszpańskie występywały w szafirowych pantalonach, jak piechota austrjacka, i w butach czarnych z cholewami, dość prymitywnej wprawdzie lecz wcale nie historycznej konstrukcji. Tysiące podobnych usterek i grubych błędów, dowodzących braku dbałej ręki, kierującej zewnętrzną stroną przedstawień, wyliczyć byśmy tu mogli, gdyby się to na co przydało....

Ze świeżo pozyskanych sił artystycznych na szczegółowe wspomnienie zasługują pani Ziemayer i p. Zamojski. Pani Ziemajer, dotychczas artystka teatru kaliskiego i innych prowincjonalnych teatrów w Królestwie, jest nabytkiem istotnie cennym. Widząc jej żywość, jej humor i werwę na scenie obok pewnej dystynkcji i miary artystycznej (tak rzadkiej u prowincjonalnych aktorek), zapomina się i wybacza jej głosik nosowy, podobny do trąbki dziecinnej, który zrazu nieco dziwne i nie zupełnie przyjemne sprawia wrażenie. Pani Z. posiada oprócz tego obszerną już dziś rutynę sceniczną a przytem pewną samodzielność w pojęciu i wykonaniu, znamionującą prawdziwy, wyższy talent. Jednem słowem jest już teraz niepospolitą a na przyszłość bardzo wiele rokującą artystką, w każdej bowiem jej roli przebija sumienność i staranne wypracowanie. Jako artystce zarzucilibyśmy jej czasem, że za wiele „gra“ tj. używa zbyt uderzających, widocznych i narzucających się efektów, (chociaż zresztą trafnych i artystycznych), podczas gdy właśnie najwyższym tryumfem sztuki jest, ażeby w niej nie znać było „sztuki“.... Artysta powinien na scenie żyć (zwłaszcza w komedji), ale żyć—artystycznie tj. formami artystycznemi. P. Z. pozyskała dla siebie odrazu publiczność, występując w sztukach, jak „Zbudziło się w niej serce“, „Folwark Primrose“, „O chlebie i wodzie“ (niezawodnie najlepsza jej rola) i innych. Najmniej podobała się — dziwna rzecz! — właśnie w „Sztuce przypodobania się“. Jako młody wicehrabia Letoliere, była dość bezbarwną. Rola ta była ubogą w pomysły i jak się zdaje, nie dość szczegółowo wypracowaną. Bądź co bądź zyskał teatr lwowski w pani Z. nieposlednią siłę do ról naiwnych, ludowych i do fars, w których odznacza się godną naśladowania a tak rzadką elegancją i miarą artystyczną, tudzież lekkim humorem bez żadnej przymieszki trywialności.

P. Zamojski, były artysta teatru krakowskiego, może być również wielce pożytecznym w rolach komicznych t. z. ojców komicznych, wujaszków i w rolach ludowych — ale nigdy dramatycznych!... Jako król maurytański mógł posłużyć za odstraszający w tej mierze przykład. Korzystnem byłoby dla artysty tego, gdyby się pozbył swej wymowy nienaturalnej i przesadnej.

Wracam do przedstawienia „Księcia Niezłomnego“. Teatr był pusty.... Ha, darmo! któż bo wierzy dziś jeszcze w „niezłomność książąt“ — przy procesie Offenheima?... Lecz pominąwszy to nawet, utwór ten Kalderona, pomimo wysokich swych zalet poetycznych, spotęgowanych jeszcze brylantowym przekładem Słowackiego, pomimo wzniosłej swej treści i pojedyńczych scen wysoce dramatycznych — nie łatwo może sprawić wrażenie na scenie. Nie ma w nim namiętności gwałtownie ścierających się, nie ma walczących ze sobą dążeń ani krzyżujących się celów, nie ma objawów dodatniego czynu,—są tylko dwie idee, wcielone w dwóch ludzi, niezłomnie jak skały naprzeciw siebie stojących, z których jeden cierpi cielesnie pod przemocą fizyczną drugiego. Nie ma tu więc żadnej walki widocznej, na zewnątrz objawiającej się, — jakiej dramat wymaga — jest to walka skryta, odporna potężnego ducha, który pomimo cielesnych katuszy, nie ugina się, lecz stoi niezłomnie aż do śmierci. Jest to zapewne także czyn

— ale bierny.... Utwór ten zatem nie jest dramatem w ścisłem znaczeniu tj. nie zawiera żadnych faktów, żadnych zdarzeń ani nawet dodatnich czynów psychicznych — jest to raczej wzniosła epopeja męczeńska, której bohaterem jest najszczytniejszy ideał króla-rycerza-chrześcijanina, na jaki się zdobyła poezja średniowieczna. Utwór ten może więc na scenie zająć tylko charakterami tj. cały efekt spoczywa w rękach grających artystów. A z tych (u nas) z wyjątkiem p. Ładnowskiego, żaden w przybliżeniu nawet nie stanął na wysokości swego zadania a najmniej ten właśnie z artystów, od którego zawisła druga polowa efektu tj. p. Zamojski, który grał rolę króla Fezu. Postać ta, również swą mocą charakteru imponująca, stanowi niejako potężne „pendant“ do głównego bohatera i ma służyć do tem silniejszego uwydatnienia duchowej tegoż potęgi. Im godniejszy przeciwnik, tem świetniejszy tryumf zwycięzcy. Król Fezu powinien przeto wzbudzać grozę i nawet cześć pewną, jeśli ma być przeciwnikiem „niezłomnego księcia“. Ponieważ zaś p. Zamojski raczej wręcz przeciwne powyższym budził uczucia, więc wrażenie było mniej niż połowiczne, pomimo genjalnej gry w całości jak we wszystkich swych szczegółach gry p. Ładnowskiego. Brak miejca nie pozwala mi niestety przedsięwziąć szczegółowego rozbioru tej kreacji, w której pełny godności i szlachetności majestat chrześcijańskiego księcia zlewał się z bohaterstwem średniowiecznego rycerza i z idealną, pełną spokoju i słodyczy ekstazą męczennika i ascety religijnego — w piękną, plastyczną całość.

Nakoniec godzi się także wspomnieć o przedstawieniu przepysznego fragmentu dramatycznego Kornela Ujejskiego p. n. „Samson“. Przedstawienie to wypadło z drobnemi wyjątkami ze wszech miar zadowalająco. Palmę pierwszeństwa należy przyznać pani Nowakowskiej w roli Lami. W scenie w której opowiada Manuemu przeszłe swe losy i rzuca Bebraimowi w twarz zarzut odstępstwa i zbrodni, rozwinęła artystka piorunującą, pełną prawdy siłę dramatyczną i głębokie na widzach wywarła wrażenie. Znakomicie odegrała pani Aszperger rolę Salfonji, Bebraima starannie p. Fiszer; Manue (p. Woleński) był stanowczo za młody. Cudne opowiadanie Samsona wygłosił p. Ładnowski z całą porywającą potęgą mistrzowskiej swej dykcji. A teraz mielibyśmy ochotę zapytać każdego, kto był obecny przedstawieniu „Samsona“, czy zasługują na pobłażanie przedstawienia takie, jak „Księcia Niezłomnego“?... Czy godzi się cierpieć i pobłażać niedbalstwu tam, gdzie przy trochę dobrej woli i dbałości o sztukę, dadzą się z łatwością osięgnąć rezultaty godne jednej z pierwszych scen polskich!...

Piśmiennictwo zagraniczne.

(Ciąg dalszy).

(Promenade autour du Monde par le Baron de Hübner; 3 edition; Paris. Hachette — 1874. — Przechadzka dokoła świata barona Hübnera.)

Przejdźmy na Wallstreet. Jestto dzielnica obrotu pieniężnego: Podobieństwo jej do City londyńskiego nie da się zaprzeczyć. Domy, z których niemal tam każdy jest bankiem, ciżba ubiegająca się za groszem, powietrze nawet, że tak powiem pachnie tam kapitałami.

Ale otóż z kolei rzeczy następuje Piąta-ulica, odległa od dzielnicy przemysłowców. Tu to [dopiero nasyca się oko nagromadzonemi zabytkami. Nie trzeba atoli być zbyt wymagającym pod względem wartości architektonicznej gmachów okazałych, ciężkich, wspaniałych, ciągnących się w niej sznurem. Styl jednak budowy amerykańskiej przeszedł już do Europy i upowszechnił się znacznie. Ringstrasse najlepsze daje tego okazy. Budowniczowie p. Hausmann'a czerpali także ztamtąd natchnienie do swoich planów, usiłując połączyć epokę odrodzenia architektury francuskiej z najświeższą amerykańską, którą porównać można doskonale jak cacko Henryka III. zakrawającego na *yankee'sa*. Kto nie widział budynków w stylu amerykańskim, niechaj sobie wyobrazi domy podobne do ozdobnych, poprzegradzanych klatek, zwyczajem Holendrów posiadaczy niegdyś N.-Yorku, pokostowanych na kolory jaskrawe, w których ceglasty przeważa. Każdy z tych domów podzielony jest na części, na każdej części zawieszony numer; jedna część nie ma żadnej łączności z drugą, głuche mury je rozdzielają. Pod każdym numerem mieszka rodzina bez sąsiadów. Nie spotyka się ona z nikim obcym ani w sieni ani na schodach, gdyż ma wchód osobny od ulicy, nadto ogródek ze sztachetami, co ten wchód otacza. Nie ma przed temi domami żadnych wspólnych galeryj, żadnych portyków. Chłód samolubstwa wieje z takich domów.....

Małe ogródki na przodzie, pęki zielonych drzew i kwiatów różnobarwnych, jużto osiadłych na murawie, jużto rozpinających się po ścianach, wieńczą podczas lata te domy starannie utrzymane, przydając im zalotności i uroku, tak, że z przyjemnością zatrzymuje się przechodzień przed marmurowem ogrodzeniem, aby na nie popatrzeć.

Lecz co jest najciekawszem w Nowym-Yorku, to owa liczba świątyń najrozmaitszych wyznań. Pominąwszy kościół gotycki wzniesiony teraz przez Irlandczyków, a należący do dawnego stylu, reszta są to małe świątynie o rozlicznych nazwach, zbudowane w drobnych rozmiarach, lecz z przepychem, we wszystkich stylach możebnych i niemożebnych, stanowiących oczywistą sprzeczność z wysokiemi kamienicami, obok których stoją niby kaplice. W Europie katedry rozmaitych rozmiarów, dzwonnice, frontony i dachy kościołów odbijają swoje sylwetki na niebiosach, nadając miastom znamię wielkości i grozy. Nowy-York przeciwnie, ukazuje wylądowującemu Europejczykowi na pierwszy rzu oka masę kamienic o czerwonej, szarej i żółtawej barwie, z pomiędzy których kilka zaledwie wygląda wieżyc. Mimowolnie nasuwa się pytanie, jak dwa lub trzy domy boże wystarczają dla kroci chrześcjan? I za wstąpieniem dopiero wewnątrz miasta, zwłaszcza na Piątą-ulicę, dostrzega się owe mnóstwo wyż wspomnianych kościółków. Otwieraja je tylko podczas nabożeństwa, odbywającego się w niedzielę. W każdym razie istnieją one i przy całej swojej maluczkości przeświadczają cudzoziemca, że religja jakaś tkwi w sercach nowoczesnych Krezusów, którzy dorabiając się ciężką pracą majątków, nie mieli dość czasu wolnego na ćwiczenia duchowne, ale przypomnieli sobie o takowych, gdy zostali miljonerami. Czy to z przekonania i istotnej potrzeby, czy też ze względu na samą przyzwoitość (respectability), bogacze z poza Atlantyku lubią zawiązywać spółki i budować kościoły. Tylko że w tych kościołach nie ma miejsca dla biednych, a jeśli jest, to poniżające, przy drzwiach. Kościoły te należą do pewnych zgromadzeń; pastorzy w nich są niejako urzędnikami płatnymi i zależnymi od tychże. Gdy im kościół jest niedogodny, sprzedają go innemu zgromadzeniu lub przenoszą na inne miejsce. Przytem kościoły są podzielone na akcje, a ławki w nich przedstawiają wartość kuponów tych akcyj. Ławy pierwszych rzędów, wyobrażające największe kapitały, są zajmowane przez akcjonarjuszów należących do najwyższej arystokracji pieniężnej. W ławkach drugiego rzędu zasiada arystokracja mniejsza, i tak dalej. Ławka kościelna jest wartością na giełdzie, podobnie jak każda inna wartość. Za jednym rzutem oka można widzieć w świątyni pańskiej, np. u Episkopalistów lub Presbiterjanów, który śmiertelnik jest najbogatszy. Wszystkie ławki są zamykane, klucze od nich posiadają właściciele. Gdy pastor jest zamożny i sam wybuduje kościół, puszcza go w dzierżawę drogą licytacji.

W klasie zaś społeczeństwa najczynniejszej, najruchliwszej, najważniejszej, zmuszonej zdążać na odgłos dzwonka do zatrudnień dziennych, życie duchowe zdaje się być uśpionem, obumarłem na pozór. Budzi się ono atoli od chwili do chwili. Znaczne kwoty pieniężne zbierane na kościoły, zgromadzenia religijne w lasach i na łąkach u brzegów Missisipi, gdzie wśród prawowiernych pragnienie wewnętrznej pociechy wybucha z gwałtownością nie do opisania, przenika tłumy jakby epidemja, roznieca zajścia tragiczne i rubaszne razem, są dostatecznym tego dowodem. Rzesze takie, tudzież kościółki na Piątej-ulicy, oto dwa różne objawy jednej i tejże samej idei ducha religijnego, drzemiącego, uciśnionego, ale nie zabitego czcią dla złotego cielca, będącą religją urzędową, religją Państwa, handlarzy, górników, woźnic, domokrążców, słowem karjerowiczów młodej Ameryki.

(C. d. n.)

Krakowskie Sukiennice

I NAJNOWSZY PROJEKT ICH ODBUDOWANIA.

Przed kilku laty powzięło miasto Kraków myśl odrestaurowania Sukiennic stojących w głównym rynku, których dawniejsze przeznaczenie sama nazwa dobitnie określa. Opłakany stan tego gmachu — tak zewnątrz jak wewnątrz — usprawiedliwiał zamiar ten w zupełności. Budowa ta, stojąca wśród najludniejszej części miasta, obrażać musiała zmysł najmniej nawet estetyczny. Potrzeba restauracji była zatem — niewątpliwą; wątpliwym był tylko sposób, w jaki restauracja ta ma być uskutecznioną. Przypomniano sobie, że Sukiennice są zabytkiem budownictwa z 14. wieku, że są zabytkiem sztuki polskiej, i jako takie od zagłady uchronione być powinne. Odbudowanie zatem sukiennic, z zachowaniem cech stylowych jakie się w nich manifestują, stało się programem konkursu, jaki Kraków rozpisał na plany restauracji.

Na konkursie tym otrzymał palmę pierwszeństwa plan hr. Platera — który jednak, gdyby miał być wykonanym, miał się wesprzeć co do stylowości budynku na drugim konkursowym planie p. Rudzkiego.

Plan bowiem hr. Platera — tak zmieniał postać Sukiennic, że był raczej planem przebudowania a nie odbudowania gmachu.

Dopiero po przyznaniu nagrody — przyszli sędziowie konkursowi do przekonania, że plan hr. Platera jest nieodpowiedni, i wykonanym być nie może.

Dlaczego mu dano nagrodę? — Na to pytanie nie mogliby dać sędziowie zadowalającej odpowiedzi. Plan hr. Platera złożono do aktów, tymczasem wykupiono sklepy prywatne do Sukiennic przybudowane, zburzono zakamarki rozliczne i oczom publiczności pokazały się stare mury Sukiennic, wstrętne zaniedbaniem i brudem wiekowym. Ściany, które gwałtem rozlecieć się chciały, podparto drewnianemi palami, a Rada miasta radziła lat kilka, w jaki sposób odbudować Sukiennice, tę „drogocenną pamiątkę świetnej przeszłości miasta.“

Narady te przerwał niedawno pan Tomasz Pryliński, który Radzie miasta ofiarował zupełny plan restauracji Sukiennic. Rada wystawiła plan ten na widok publiczny, nadto wyznaczyła komisję znawców, która ma orzec, czy plan ten zasługuje na przyjęcie i wykonywanie.

Nie przesądzając zdania komisji, występuję z omówieniem planu tego, a występuję tem śmielej że nie znam osób sądzących i sądzonych, że stoję po za obrębem koteryj działających; a jako technik zawodowy i obywatel, mam prawo głosu w kwestji publicznej, jaką jest niezawodnie restauracja Sukiennic.

Głos publicznej krytyki w sprawach architektury jest u nas rzadkością. Za granicą, gdy plany na jakąkolwiek pomnikową budowlę zostaną na widok publiczny wystawionemi, lub odnowienie jakiego publicznego gmachu przedsięwziętem, pojawiają się w dziennikach fachowe krytyki i omówienia, które wyświecają zamiary, i pojaśniają o stosowności lub niestosowności projektu.

Architekt projektujący ma sposobność usłyszenia zawodowego sądu o dziele swojem — czerpie z niego naukę i zachętę, a publiczność kształci swoje zdanie ogólne, i obznajamia się z wymogami artystycznemi i technicznemi budownictwa. Te są korzyści sumiennej zawodowej krytyki. A u nas? U nas architekt wtedy dowie się o wartości swego dzieła, gdy podsłucha, co o niem mówi niefachowa publiczność głośno lub fachowi ludzie cichaczem. Kto na tym braku krytyki publicznej cierpi? Architekt i publiczność — jednostka i ogół. Błędów nikt artyście nie wytknie — zalet nie oceni, sam jest jedynym sędzią swego dzieła. Publiczność przyjmuje wszystko co jej niosą artyści, bo krytyka umiejętna nie dała jej sposobności do wyrobienia sobie jakiegokolwiek znośnego zdania o rzeczach budownictwa.

Czy nam brak ludzi fachowych? Gdzież tam; brak nam tylko dobrych chęci i zrozumienia własnego interesu. Wstydzimy się pióra i drukarskiego czernidła; wstyd to krzywa i raz już powinniśmy go się pozbyć.

Nim przystąpię do ocenienia planu p. Prylińskiego — wypada mi powiedzieć pierwej kilka słów o restauracji pomników w ogóle:

Pietyzm, z jakim patrzymy na wszystko, co się odnosi do naszej świetnej narodowej przeszłości, jest przyczyną starań naszych o zachowanie pamiątek

z tej przeszłości. W ostatnich zwlaszcza latach gromadzenie zabytków sztuki i rzemiosł; zbieranie starych przyborów wojennych i domowych; rysowanie i pomierzanie budowli przeszłowiecznych, odnawianie kościołów, kaplic i grobowców, było na porządku dziennym — i ruchu tego nikt rozsądny zganić nie może. Jest on ze wszech miar usprawiedliwionym i patrjotycznym. Jedno mu tylko zarzucić można, że nie zna miary i krytyki, a z temi czynnikami, w czasie i położeniu naszem, koniecznie rachować się trzeba. Tyczy się to szczególniej zabytków sztuki. Tak kochamy wszystko co nasze — że rozróżnić nie chcemy, co piękne a co brzydkie co ma wartość, a co jej niema, — co zachowania godne, a co porzucić należy. A przecież każdy nieuprzedzony przyznać musi, że nawet najbardziej artystyczny naród stwarza dzieła, które na miano pięknych nie zasługują; cóż dopiero naród nasz, który pod względem artystycznej działalności — nie mógł się mierzyć z innymi. Gdybyśmy chcieli być konsekwentni musielibyśmy z pietyzmu dla przeszłości powrócić do cynowych talerzy i dzbanów, na jakich jadali, z których pili ojcowie nasi; musielibyśmy mieszkać wśród wąskich uliczek, obywać się bez gazu i nafty. Zachowanie zatem od zagłady starych pomników sztuki musi mieć miarę — musi podlegać rozumnej krytyce. Zachowanie w dobrym stanie zabytków, odznaczających się albo oryginalnością narodową, albo artystycznem pięknem — jest powinnością jednostek i ogółu: — obojętność zaś dla zabytków bez wartości artystycznej — za grzech policzoną być nie może.

Tego, któryby zniszczył jeden ornament w Zygmuntowskiej kaplicy, lub odłamał jedną figurkę w pomniku Kazimierza Jagiellończyka, albo też rozburzył kościołek św. Wojciecha — nazwałbym barbarzyńcą najwyższego rodzaju. Nie mógłbym tego samego powiedzieć o człowieku, któryby zniósł całą attykę na krakowskich Sukiennicach.

Zachowanie w dobrym stanie pomników prawdziwej artystycznej wartości jest naszą powinnością. Zachowanie wymaga często odnowienia częściowego lub całkowitego. Odnowienie pomników sztuki musi być przeprowadzone w ten sposób, aby ani jeden szczegół, charakteryzujący cel, wiek i styl jego nie został zniszczonym. Dzieło artystyczne wymagające restauracji, powinno z rąk odnowicieli wyjść takiem, jakiem je stworzył pierwotnie artysta; inaczej pietyzm nasz dla przeszłości, jest tylko ładnym frazesem bez znaczenia i jakiejkolwiek wartości.

Między zabytkami przeszłości trafiają się takie — które w kolei wieków zatraciły swój charakter stylowy nie zmieniając przeznaczenia, a które ze względu na ważność ich dla historji, kraju lub miasta — zachować byśmy od ruiny pragnęli. Najwięcej takich tu zabytków — zostawiło nam budownictwo, w gmachach przeznaczonych na cele praktyczne jak np. Sukiennice, ratusze, pałace królewskie. Gmachy takie zatraciły często charakter swej pierwotnej architektury; zmieniło się nawet ich przeznaczenie, — jeżeli więc ruina grożąca takiemu gmachowi, każe nam myśleć o jego odnowieniu, wówczas musi ono oprzeć się na innych zasadach, jak te, których się trzymamy przy odnawianiu dzieł prawdziwie artystycznych. (Dok. nast.)

DZIEDZICZNOŚĆ CHARAKTERU

przez

A... S...

II.

(Ciąg dalszy).

Najgłówniejszem i najprostszem pytaniem jakie nam się teraz nastręcza, jest ta mianowicie zagadka: dla czego psychologiczna dziedziczność często nie ma miejsca i jakie przyczyny ją znoszą? Czyli tłómacząc tę kwestję na język przykładu powinniśmy odpowiedzieć: dla czego ojciec zbrodniarz ma uczciwego syna lub odwrotnie? Oswobodzone od wszelkiej blagerji sumienie wyznać każe, iż w tym punkcie kończy się fsera dowodów ścisłych a zaczyna się sfera przypuszczeń. Z wielu innych dwie zasługują na uwagę. Prosper Lucas utrzymuje, że w narodzeniu człowieka przyjmują udział dwie siły: prawo dziedziczności i prawo usposobień wrodzonych.

Zapomocą ostatniego natura ustawicznie coś nowego tworzy i wynajduje — pierwsze pozwala jej naśladować się i ciągle powtarzać. Tamto jest zasadą r o z m a i t o ś c i, to zasadą p o d o b i e ń s t w. Gdyby tylko jedno istniało świat składałby się z nieskończonej liczby rozmaitości, gdyby wyłącznie istniało drugie — widzielibyśmy w nim same tylko bezwzględne podobieństwa.

Ribot stawia przypuszczenie odmienne. Według niego usposobienia czysto wrodzone zależą od przyczyn przypadkowych, są wynikiem zbiegu praw naturalnych, ale nie rezultatem jakiegoś stałego osobnego prawa, że zatem nie ma dwu tylko jedno prawo dziedziczności połączonej z wyjątkami. Hipotezę swoją przedstawia w następującym wywodzie. Jeżeli weźmiemy jakąkolwiek maszynę z bardzo prostą budową, np. młynek do czyszczenia zboża lub pług, i jeżeli ją cokolwiek uszkodzimy, prawdopodobnie nie mniej służyć będzie mogła do użytku: drobna przyczyna sprowadzi drobny skutek. Lecz jeśli weźmiemy maszynę skomplikowaną, np, lokomotywę, rzecz się zupełnie zmieni; tu drobna przyczyna może sprowadzić straszne skutki: wybuch, rozerwanie itd. Doświadczenie tedy pokazuje nam, że między przyczyną i skutkami istnieje d y s p r o p o r c j a. Jeżeli dalej przejdziemy do ustrojów bardziej skomplikowanych, mianowicie organicznych, spostrzeżemy, że tu taka dysproporcja jest jeszcze większą, gdyż np. kropla pruskiego kwasu niszczy w jednej chwili cały organizm. Nakoniec w najbardziej złożonym i najdoskonalszym mechanizmie duchowym owa dysproporcja staje się największą: kilka np. kropel belladony sprowadza najstraszniejsze widzenia. Słowem więc im bardziej jakiś mechanizm jest skomplikowany tem większą tworzą w nim nieproporcjonalność przyczyny przypadkowe z wywołanemi przez nie skutkami. Prace Geffroy-Saint Hilaire'a i Dareste'a wykazały, że można sztucznie hodować potwory. Tak np. jajka kury ustawione na czubie lub potrząsane w pewien sposób wydają potworne kurczęta. Bardzo więc drobne przyczyny mogą z gruntu zmienić organizm w czasie jego formowania się, i to jest pierwszy wzgląd tłómaczący nam te wypadki w których dziedziczność nie ma miejsca. Drugim takim względem są przemiany psychicznych spadków. Tę część hipotezy zapożyczył Ribot u Dr. Moreau, który myśl swoją wyraża w tej formie: „Nie rozumie prawa dziedziczności ten, kto od każdej nowej generacji oczekuje powrotu do zjawisk identycznych. Są tacy, którzy nie chcą władz duchowych poddać dziedziczności dla tego, iż chcieliby ażeby charakter i inteligencja potomków były zupełnie podobne do charakteru i inteligencji przodków, ażeby każde pokolenie było kopją poprzedniego, ażeby ojciec i syn przedstawiali widok jednego stworzenia, które urodziwszy się dwa razy, przebywa po dwakroć tęższamą drogę życia w tychże samych warunkach. Tymczasem nie w indentyczność funkcyj i fizycznych lub duchowych zjawisk szukać należy zastosowania praw dziedziczności, lecz w źródle samejże organizacji, w wewnętrznym ustroju. Rodzina, której główny rodzic umarł na pomięszanie zmysłów lub epilepsję niekoniecznie musi się składać z obłąkanych i epileptyków, gdyż jego dzieci mogą być idjotami lub skrofulicznemi. Ojciec nie przekazuje dzieciom obłąkania, lecz wadę swego ustroju, która objawić się może w najrozmaitszych postaciach — w epilepsji, histerji, skrofułach lub rachityzmie.“ *)

Mamy więc dwie hipotezy usiłujące wytłómaczyć odstępstwa od prawa dziedziczności. Co się tyczy pierwszej — Prospera Lucasa — utrzymującej istnienie osobnego prawa wrodzonych usposobień, za pośrednictwem którego natura tworzy coraz nową rozmaitość, to jak już słusznie zauważył Ribot, jest domysłem powierzchownym, gdyż w żaden sposób nie może być uznaną za prawo fizjologiczne siła polegająca w wyrabianiu coraz nowych objawów. Prawo organiczne musi mieć swoją ściśle określoną własność — czego mu właśnie w tym wypadku brak, bo cóż to jest za własność: tworzenie rozmaitości? Byłby to chyba raczej jakiś dziwaczny kaprys w postaci bezwiednej fizycznej mocy. Prawo według którego z kobiety białej rodzi się dziecko białe — jest zrozumiałe, ale takie według którego z tejże kobiety bez żadnej przyczyny mógłby się urodzić murzyn, indjanin a nawet papuas — jest nielogiczne i nie ma żadnej racji bytu.

Pozostaje nam więc druga teorja — Ribota i Moreau de Tours — według której istnieje tylko jedno prawo, mianowicie prawo dziedziczności, którego zboczenia tłómaczą się 1) nieproporcjonalnością przyczyn i skutków w organizmach złożonych i 2) przemianami gatunków tejże dziedziczności. Teorja ta w ogólnem swem przypuszczeniu jest rzeczywiście bardzo trafną a przynajmniej najszczęśliwiej ze wszystkich pomyślaną, ale za to w szczegółowych wywodach jest albo zupełnie ciemną albo naciąganą. Dopóki mówimy że obłąkanie przeradza się w potomstwie na epilepsję lub idjotyzm, twierdzenie nasze jest bardzo rozsądne i może być nawet w zupełności słuszne; ale gdy się zapytamy dla czego i jak się dokonywa ta przemiana — sądy nasze stracą wszelki grunt naukowy i muszą się ratować w najlepszym razie domysłem a w najgorszym dogmatyką wiedzy. Fizjologja, która dziś zajęła się najważniejszemi zagadkami naszego duchowego życia i niektórym dała bardzo trafne choć niezupełnie stwierdzone rozwiązania, popisuje się często przez usta swych pośledniejszego gatunku adeptów ze śmieszną fanfaronadą. Jest to aksjomat niezawodny, że im kto mniej wie, tem więcej wiedzy sobie przypisuje. Tego właśnie rodzaju pyszałkowatość puściła w kurs wiele płytko pomyślanych, pewnikami ochrzczonych naukowych konceptów, których jedynem znamieniem była zuchwałość, a które nietylko dla błędów wyzyskały kredyt prawdy, ale nadto odstraszyły od wiedzy w ogóle bojaźliwy i dbały o swe dobro ogół. Szczęściem dla tej wiedzy są prawdziwi i szczerzy jej kapłani, którzy nie spekulują na rozgłos śmiałości ale sumiennie wyznają, jak i ile dotąd człowiek zdołał poznać. Otóż z wyznania takich myślicieli a nie naukowych fanfaronów i dyletantów możemy bardzo łatwo się przekonać że 1° mimo niezaprzeczonych objawów związku ciała z duchem szczegóły i sposoby tego połączenia są nam w drodze eksprymentalnego badania prawie zupełnie nieznane; że więc 2° nie wiemy ściśle jakie stany fizyczne odpowiadają pewnym stanem moralnym; że 3. jest dla nas niedocieczoną tajemnicą proces bezpośredniej jak i pośredniej dziedziczności. Zrzekłszy się wszakże

*) Nawiasowo dodam, że zarówno ten jak inni autorowie (Lelut) doprowadzając swą hipotezę do najdalszych granic twierdzą, że „warunki organiczne obłąkania i genjalności są prawie identyczne.“

prób do odsłonięcia tej tajemnicy, nie możemy i nie powinniśmy marnować bardzo ważnej dla naszego badania prawdy, mianowicie, że jak wszystkie duchowe uzdolnienia lub nieuzdolnienia tak samo i charakter jest zwykle dziedziczny. Zachodzi więc teraz tylko pytanie w jakim stopniu?

Przed odpowiedzią na nie muszą jednak wprzódy porozumieć się z czytelnikiem co do samego pojęcia faktu który nas w tej chwili zajmuje. (C. d. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Francuska.

— Recueuil des traités et conventions conclus par la Russie avec les puissances étrangeres, publiés parl'ordre du Ministere des affaires étrangeres par F. Martens, prof. Tome I. Traités avec l'Autrich 1648—1762. Petersbourg. 1874.

Dzieło to i dla naszej historji wielkiej wagi. Tom pierwszy zawiera 30 traktatów między Rossją a Austrją od r. 1648 czyli od pokoju westfalskiego do r. 1762 zawartych. Wstęp do tych dokumentów traktuje o stosunkach dyplomatycznych między Rossją a Austrją; ale i sprawy polskie, węgierskie i tureckie są tu należycie uwzględnione. Tekst jest podany po francusku i w tłumaczeniu rossyjskiem.

— Les Odeurs de Berlin par M. Lésuzon le Duc. Paris. 1875.

Na ciekawą a niezapomnianą dotąd klątwę prasy berlińskiej rzuconą na Francję i Paryż, jako na nowoczesną Babilonję, autor odpowiada dosłownem tłumaczenim petycji gminy ewangielickiej niemieckiej, wniesionej do Reichstagu przeciw strasznej demoralizacji kraju a podpisanej 15.000 imionami, między któremi znajduje się nie mało znanych i zacnych. Oto protestacja zbiorowa, dokument najważniejszy i statystyka najsumienniejsza, przedstawiająca tę rzekomą ojczyznę wzniosłej cnoty i świątynię obyczajów jako siedlisko najwyuzdańszej rozpusty i zgangrenowanego na wskróś społeczeństwa.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— Tak niecierpliwie oczekiwany koncert panny Zofji Siegenfeld, pianistki z Warszawy, uczennicy Józefa Wieniawskiego, odbył się wreszcie dnia 24. b. m. w wielkiej sali ratuszowej. Umiejętne ułożenie programu pozwoliło ocenić talent młodej artystki w całem jego bogactwie i pełni. Liszt i Chopin, Mozart i Schumann odsłaniali z kolei nie pospolite przymioty gry panny Siegenfeld: doskonałą technikę, głębokie uczucie, artystyczny prawdziwie rozmysł i dar wtajemniczenia się w intencje kompozytora, obok wielkiej prostoty i szlachetności w wykonaniu. Do wzbogacenia tego koncertu przyczynili się znacznie pan Keller, nieporównany interpretator Moniuszki, odspiewaniem jego „Magdy Karczmarki“ i p. Deryng wygłoszeniem „Niebezpiecznej“ Ujejskiego.

— Na zakupno obrazu Matejki „Unja lubelska“ złożono dotąd 5.442 zlr.

— Pierwszy zeszyt „Albumu Matejki“ we wspaniałem wydaniu Lewentala ukazał się już w handlach księgarskich. Kartonów znajduje się piętnaście. Tekst objaśniający jest dziełem K. Wł. Wojcickiego.

— Bolesław Dembiński skomponował wielką kantatę na głosy męskie z towarzyszeniem orkiestry do słów W. Pola „Pieśń o ziemi naszej“. Kantata będzie wykonana dnia 3. lutego b. r. w Poznaniu. W chórze weźmie udział 40 spiewaków.

— Jeden z warszawskich literatów p. Hipolit Skimborowicz przygotował do druku „Dzieje wolnomularstwa polskiego od początku do r. 1830.“

— Sprawowanie obowiązków dyrektora warszawskich teatrów z powodu zaszłej w tych dniach śmierci dotychczasowego dyrektora, radzcy stanu Bojanowskiego, poruczonem zostało p. Bogumiłowi Folandowi, kontrolorowi dyrekcji teatrów.

— Gabinet Archeologiczny Uniwersytetu Jagiellońskiego otrzymał od hr. Mostowskiej bronzową ozdobę na głowę, rodzaj djademu, zabytek wykopany w Inflantach polskich, we wsi Feimanach.

— Gabinet starożytności przy uniwersytecie warszawskim istniejący, a zostający w zawiadywaniu p. Mierzyńskiego, profesora zwyczajnego tegoż uniwersytetu, w początku roku 1874 liczył rozmaitych przedmiotów 1,937 wartości rs. 2,762 kop. 48.

— W warszawskiej bibljotece uniwersyteckiej w początku 1873-4 roku szkolnego było według dokumentów 90 tysięcy numerów książek, w ilości 170 tysięcy tomów; w ciągu tegoż roku szkolnego bibljoteka nabyła książek, pism perjodycznych, map jeograficznych, rękopismów i innych wydań 2313 numerów w ilości 3,524 tomów. W tej liczbie przybyło książek 2,166 dzieł w ilości 2,852 tomów, pism perjodycznych 86 w ilości 586 tomów, jeograficznych map i atlasów — 11 w ilości 13 tomów, dzieł muzycznych — 25 w 25 zeszytach, rycin i litografij 6 w 6 zeszytach, nakoniec 19 rękopisów w ilości 42 egzemplarzy. W ogóle z początkiem roku 1874-5 r. szkolnego w bibljotece uniwersyteckiej było spisanych 90,833 dzieł w ilości 152,279 tomów

— W dniu 8 b. m. odbyło się w Poznaniu posiedzenie wydziału historycznego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, na którem dr. Kazimierz Szulc, z dzieła swego pt. „O autentyczności kamieni mikorzyńskich,“ czytał ustęp: „O stopniu cywilizacji Słowian pogańskich.“ Prelegent, opierając się na najdawniejszych kronikach i zabytkach historycznych, skreślił stan oświaty o Słowian pogańskich, który jak na ówczesny ogólny stan cywilizacji, wykazuje dość wysoki stopień uspołecznienia. Po odczytaniu rzeczonego ustępu, wydział wybrał komisję z trzech członków, dla ocenienia całego dzieła, czy kwalifikuje się do pomieszczenia go w rocznikach Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

— Posąg Jędrzeja Sniadeckiego, dłuta rzeźbiarza warszawskiego p. Kucharzewskiego, przeznaczony do przyozdobienia sali posiedzeń warszawskiego Towarzystwa lekarskiego, ukazał się w tych dniach na wystawie sztuk pięknych w Warszawie. Posąg przedstawia znakomitego profesora w chwili wykładu, w todze, z ręką opartą na „T e o r j i j e s t e s t w o r g a n i c z n y c h.“

— Jak wiadomo miasto Lwów ofiarowało w darze zakładowi Ossolińskich zbiór obrazów po śp. majorze Kühnlu. W skutek tego nowego przybytku zarząd muzeum w zakładzie Ossolińskich urządził na nowo całą swoją kolekcję obrazów, z wielką starannością i smakiem, z uwzględnieniem wygody publiczności i wymagań artystycznych. Zapisujemy tu także, że przed kilku dniami muzeum otrzymało, również w darze, świetne album widoków Kijowa. w pięknej oprawie od hr. Włodzimierza Broel Platera.

— Jak donosi londyński „Grafic“ odkryto w San Francisco obraz Rubensa. Przedstawia on „Djanę i Nimfy.“ Obraz ten uważano od dawna za bezpowrotnie stracony. Dzieje jego amerykańskie są następujące. Z zastawu w Nowym Jorku wykupiony, przegranym został w San Francisco za sumę 700 ft. szterl. Ztąd dostał się do Sacramento i tam ozdabiał salon pewnego Francuza. Następnie nabytym został przez dyrektora Forrest-Theater w San Francisco. Ocalony z pożaru, którego ofiarą padł ów teatr, po wielu ciekawych kolejach powrócił znowu do Sacramento i tam był główną ozdobą salonu na dworcu kolejowym, aż wreszcie poznany i oceniony, przeniesionym został do pałacu sztuk pięknych w San Francisco, gdzie się i obecnie znajduje.

— Zmarły niedawno jeden z członków akademji francuzkiej, zapisał jej jedną akcję na „Revue des deux mondes“, z tem zastrzeżeniem, ażeby dochód z niej corocznie na cele literackie był obracany. Na rok bieżący fundusz z tego źródła wyniósł 3500 franków, które akademja na posiedzeniu swem w d. 14. b. m., rozdzieliła między pp. Alfonsa Karr'a i Henryka Monnier'a, przyznawszy pierwszemu 2,000 a drugiemu 1,500 fr. Dzienniki niezadowolone są z tego rozporządzenia funduszem, utrzymując, podobno słusznie, że literatura więcej by była na tem zyskała, gdyby akademja zamiast obdarowania dwóch ustalonego już imienia i w dobrym bycie zostających pisarzy, wsparła była jakie młode a pracowite talenta.

— Dnia 18 b. m. nastąpiła w Paryżu licytacja prac literackich, zostawionych przez Micheleta. Zakupił je Michel Levy za sumę 56.000 franków. Cena ta zdawać się może bardzo małą, ale trzeba zważyć, że największe dzieła jego jak np. Historja Francji i Dzieje rewolucji francuskiej, zostały nabyte przedtem za cenę 215.000 franków.

— Najnowsza operetka Offenbacha „La jolie parfumeuse“ w niemieckiem opracowaniu Karola Treumanna nazwana „Schönröschen“ doznaje obecnie niezmiernego powodzenia w teatrze Karola w Wiedniu. Głównemi jej zaletami ma być wielki wdzięk i żywość motywów muzycznych, obok świetnego układu chórów. Libretto dowcipem i fantazją się odznacza.

— Z Nicei donoszą, że bawiący tam Offenbach pracuje obecnie nad napisaniem Mszy św. (!) która ma być wykonaną na ślubie jego córki, Zofii Blanki, z Eugeniuszem Turnel agentem wekslowym. Arcyciekawa to rzecz, jak się twórca „Pięknej Heleny“, „Życia Paryskiego“ i t. p. z tego nowego dla siebie zadania wywiąże. Już to drugą córkę Offenbach wydaje za mąż; pierwsza jest żoną pana Comte dyrektora teatru „Bouffes parisiens“ w Paryżu.

— Otwarcie międzynarodowego kongresu jeograficznego w Paryżu zostało odroczone do lipca b.r. Spodziewamy się, że i Polacy wezmą udział w tym kongresie.

— Cesarz austrjacki zarządził utworzenie w Peszcie muzeum węgierskiego. Wszystkie przedmioty pochodzenia węgierskiego, znajdujące się po rozmaitych muzeach austrjacko-węgierskiej monarchji, zostaną ztamtąd zabrane i umieszczone w muzeum peszteńskiem.

— W r. 1874. prócz dzienników i pism perjodycznych wyszło we Francji 12.000 dzieł treści rozmaitej. Dodawszy do tej cyfry wydane mapy w ilości 2200 i muzykalja w ilości 3800, otrzymamy razem publikacji 18000. Tyle nie produkuje ani Anglja ani Niemcy.

Wynalazek.

— Nowy a bardzo ważny ukazał się wynalazek, jak pisze K. Warsz. P. Tabulewicz urządził czółno poruszające się za pomocą nowego przyrządu daleko prędzej niż zwyczajne. Osobliwość nowego wynalazku, że czółnem p. T. płynąć można, nie używając wioseł ani steru a tylko przez naciskanie ręką przyrządu czółno wykonywa wszelkie obroty.

Szkolnictwo.

— W celu uzyskania fachowej siły naukowej dla katedry weterynarji w uniwersytecie krakowskim, postanowiło ministerstwo wyznań i oświaty wysłać do Wiednia kosztem funduszu naukowego jednego kandydata, dyplomowanego medyka, w celu odbycia kursu nauk w wiedeńskim wojskowym zakładzie weterynarji. Na pokrycie kosztów pobytu i utrzymania w Wiedniu w czasie trzechletniego kursu nauk, otrzyma kandydat stypendjum w rocznej kwocie 900 zlr., począwszy od roku szkolnego 1875|6. Stypendjum to ograniczone na przeciąg lat trzech, może być udzielonem tylko takiemu kandydatowi, który włada dobrze językiem polskim, uzyskał stopień i dyplom doktora medycyny na jednym z uniwersytetów monarchji austrjackiej, i zobowiąże się formalnym rewersem, iż po ukończeniu nauk weterynarji i uzyskaniu świadectwa uzdolnienia, będzie poświęcał się przynajmniej przez lat dziesięć wykładom nauki weterynarji w uniwersytecie krakowskim. Pierwszeństwo mają ci kandydaci, którzy się wykażą, że byli asystentami, lub pełnili służbę w szpitalach, tudzież, że oddawali się zawsze patologji i histologji. W celu nadania rzeczonego stypendjum rozpisano konkurs do końca kwietnia 1875 r.

Wojskowość.

— Z wiosną roku bieżącego rozpoczną się w Toruniu na wielką skalę roboty około zbudowania wielkich koszar dla całego batalijonu, tudzież około przekształcenia twierdzy. Ponieważ w latach poprzednich przy wielkich budowlach tamtejszych wojskowych i kolejowych okazywał się brak robotnika, przeto w roku bieżącym sprowadzać będą robotników podobno z Włoch.

— Kadry armji rossyjskiej po zaprowadzeniu ogólnej służby wojskowej, obejmować będą włącznie z obroną krajową 2,900.000 ludzi. Dzisiaj obejmują one: 730.000 wojsk linjowych, 120.000 załóg fortecznych, 80.000 garnizonem stojących po innych miejscach, 206.000 rezerwy, 257.000 ludzi wojska zapasowego, 70.000 kozaków; razem 1,463.000 ludzi.

ROZMAITOŚCI.

— Czytamy w „Wieku“: Przed kilku tygodniami „Gazeta Policyjna“ doniosła o śmierci Parysa Filippi znanego i utalentowanego rzeźbiarza. Sądzono zrazu że śmierć ta była skutkiem wypadku, że zmarły przez nieostrożność spadł z rusztowania i zabił się. Okoliczności wszakże, na które później dopiero zwrócono uwagę, wznieciły podejrzenie że w tej śmierci nie sam tylko wypadek grał rolę. Jakoż po zrobieniu sekcji znaleziono na przedniej części czaszki ślady uderzenia ostrem narzędziem, które przystają zupełnie do znalezionego nieopodal od zmarłego rzeźbiarskiego toporka. Miejsce obrażenia czaszki a wreszcie i własne wyrazy zmarłego, zasłyszane podobno z ust jego, zdają się stwierdzać domysł, że zmarły w przystępie melancholji lub obłędu sam targnął się na swoje życie.

— Jednym z najosobliwszych objawów w dziedzinie sekciarstwa i religijnego marzycielstwa, jest niewątpliwie sekta Mormonów, która zdobyła sobie w Utah Terirtory, nad wielkiem jeziorem słonem, głęboko na zachodzie północnej Ameryki, ogromną przestrzeń ziemi i uformowała na niej rodzaj hierokratycznego państwa. Założycielem tej sekty był przebiegły Jankees Józef Smith, urodzony 23. grudnia 1805 roku w Scharon w Stanie Vermon. Zajmował się on przez czas niejaki szukaniem zakopanych skarbów, zaklinaniem duchów, kazaniem i innemi figlami mistyczno-religijnemi,—nagle jednak w r. 1827 nawiedzonym został przez anioła i wedle wskazówek tegoż wydobył z pagórka leżącego w pustej okolicy święte „tablice mosiężne“. Były one pokryte nieznanem pismem, które jednakże prorokowi naszemu odcyfrować się udało. Rzekomą treść tych tablic ogłosił wkrótce pod tytułem „Księgi Mormon“ a księga ta stała się wnet katechizmem pewnej garstki sekciarzy, na których czele stanął proroczy Joe Smith. Grunt w Stanach Nowej Anglji wybornie był przygotowany do szalbierstw religijnych. To też garstka Mormonów, wkrótce prawdziwym ludem się stała. Nic nie pomogło odkrycie tego faktu, że Joe Smith tablice owe mosiężne sam zrobił i w ziemię zakopał, że „księga praw“ którą wydał, była romansem historycznym jakiegoś pastora Dawisona i że Smith naszpikował ją tylko cytatami ze starego i nowego testamentu — sekta wciąż się rozszerzała. W czerwcu 1830 w Fayetteville ukonstytuowała się ostatecznie i podzieliwszy na wiele gmin, coraz nowych zwolenników zyskiwać poczęła i coraz nowe osady zakładać. Wszędzie jednak Mormoni przynosili ze sobą swoje właściwości: nietolerancję religijną, wspólność dóbr, wielożeństwo i żarłoczną chciwość zagarnięcia najpiękniejszych gruntów — co wszystko wnet ich w nienawiść podało. Okazało się to szczególnie w Nauvoo w Stanie Illinois, gdzie zbudowali wielką świątynię i założyli miasto o 2200 domach. W 1840 roku mieszkańcy sąsiednich okolic nie mogąc znieść ich wad dłużej, napadli na nich i pomimo zaciętej obrony wyparli ich i rozproszyli. Po tym ciosie zbierali się Mormoni bardzo powoli, aż dopiero w 1848 r. znaleźli się znowu razem na terytorjum w Utah, i tam osiedliwszy się, założyli miasto „Great Saltlake City“ oraz kilka innych pomniejszych i tak potrafili ugruntować się i rozwinąć że w r. 1872 stanowili już ludność 90000 tysięczną. Ciekawe ich obrzędy religijne, oparte wyłącznie na praktyce zewnętrznej, komicznej nieraz wielce, tańce w kościele, kazania niedorzeczności pełne, obyczaj wielożeństwa powszechny—dostarczają obfitego materjału do satyr i wyskoków humorystycznych prasie amerykańskiej. Zdaje się, że sekta ta powoli rozpadać się już zaczyna. Młodsze pokolenie mormońskie bowiem wyraźnie wstydzi się w obec sąsiadów przepisów swego wyznania i obyczajów swego ludu.

— Pewien prawnik wiedeński, który jak to zwyczajnie bywa u studentów, nie wiele posiadał ruchomości, miał na swoje szczęście srebrny zegarek, który go nieraz już wyratował w ciężkich dniach ostatnich miesiąca, gdzie to żyje się najczęściej tylko nadzieją zbliżającego się pierwszego. Zegarek ten przyzwyczaił się już do tego, by 25. wędrować do zastawu, aby na 1go być wybawianym i dobrze mu było z tem i do twarzy. Ale pewnego razu opóźniła się przesyłka pieniędzy, a przybyłemu zapóźno z wykupem, właściciel domu zastawniczego, J. Menger, oświadczył, że zegarek sprzedany. Student straciwszy ukochanego przyjaciela, który mu był tak długo pomocą i wybawcą w złej doli, postanowił się zemścić. Nie chciał się jednak udawać do policji, ale spuścił się na własny przemysł, umieszczając w dziennikach dnia następnego taki inserat: „Skorupy z jaj zakupuje zawsze J. Menger, na Viaduktgasse p. l. 27. i płaci po 1 c. za sztukę“. Na drugi dzień tłumy nieprzeliczone kobiet i dzieci waliły się do p. Mengera z koszami pełnemi skorup z jaj na sprzedaż. Nadaremnie Menger wypierał się, że nigdy skorup z jaj nie myślał kupować, — z każdym dniem wzrastały tłumy i rosła góra skorup, które wśród przekleństw wszyscy zawiedzeni w swych nadziejach, wysypywali przed drzwiami. Menger nareszcie był zmuszony zamknąć swój sklep na czas jakiś i przybić plakat z następującym napisem: „Tu się nie kupuje skorup z jaj.“

— Angielskie dzienniki zajmują się mocno niezmiernie ciekawą sektą Shakerów, jej obyczajami i zasadami. Za jednym z tych dzienników powtarzamy następujące szczegóły, które powinne zainteresować czytelników naszych. Niedawno pokazała się w Anglji gmina Shakerów, oparta na chrześcjańsko komunistycznych zasadach, — przyjmująca miłość bez małżeństwa, dziwaczna w praktykach religijnych do ostateczności. Składała się ona z 50 mężczyzn, 60 kobiet i 40 dzieci i zamieszkiwała wielki folwark w bliskości Lymingtonu przez dwa lata, ani myśląc o tem, że na naszym biednym świecie czynsze i podatki płacić trzeba. Każde żądanie pod tym względem odpierali ci poczciwcy słowami: „Bóg za nas zapłaci“ — aż wreszcie sądowna egzekucja zmusiła ich z miejsca ustąpić. Na 16 dni przedtem wypowiedziano im pobyt i wezwano, ażeby sobie nowego siedliska dla siebie i mienia swego szukali. Oni jednak wierni swoim zasadom, do ostatniej chwili o nic się nie troskali. Rzecz prosta że wyrzucono ich wraz ze wszystkiem, co posiadali, na ulicę. Nie zmartwiło ich to ani zmieszało wcale. Mimo śniegu, deszczu i wschodniego wiatru, pod odkrytem niebem modlili się, śpiewali, tańczyli i całowali, mężczyźni, kobiety i dzieci — bez wszelkiej różnicy — w poczuciu wzajemnej miłości. W końcu jednak, gdy Bóg im z widomą pomocą nie przychodził, zabrali się do budowania namiotów i z zimną krwią na gruntach obcej gminy się osiedlili! Władze miejscowe znajdują się w najkłopotliwszem położeniu, co z tymi naiwnymi komunistami uczynić. Bliższe badania odkryły że są oni odrostkiem sekty założonej w Ameryce przez Annę Lee, pod tem samem nazwiskiem Shakerów — sekty, która całe stulecie prawie kwitnący żywot na gruncie Ameryki wiodła. W ostatnich czasach rozliczne wpływy spowodowały rozbicie się jednej gminy sektarzy. Jeden z jej członków dostał się do Anglji i powabną propagandą swoją wnet ową gromadkę na folwark koło Lymingtonu zwerbował i tam wraz z innymi się osiedlił. Zasady polityczne tej sekty są: wspólność dóbr, zniesienie małżeństw, pokój bezwzględny, — usuwający stanowczo istnienie w państwie jakichkolwiek armij i prowadzenie wojen — wreszcie zupełny rozdział między państwem i kościołem. Pojęcia ich religijne nie mniej ciekawe. Założycielka sekty, matka Anna Lee, oświadczyła na podstawie objawienia jakie miała, że grzech Adama polegał na tem, iż ożenił się on wbrew woli Boskiej z Ewą i tym sposobem cały świat zgubił. Twierdziła ona także, że Bóg ma podwójną naturę: męską i żeńską, że Chrystus był wcieleniem męskiej, ona zaś żeńskiej istoty Boga. Ameryka posiada obecnie około 18 gmin shakerskich, dzielących się na 58 familij, razem około 2400 ludzi, którzy pomimo dzikich zasad swoich,—przyznać potrzeba — nader zgodne i praktyczne życie prowadzą. Każdy nowo wchodzący do gminy składa całe mienie swoje w ręce naczelników i odbywa rok próbny, po upływie którego a nawet wcześniej, jeśli mu się niepodoba ich życie, odebrać może, co złożył i wycofać się bez szkody. Jeśli zaś pozostaje w gminie, obowiązanym jest spełniać wszelką powierzoną mu robotę, a za to otrzymuje mieszkanie, jadło przy wspólnym stole, ubranie i wszelkie inne niezbędne rzeczy ze wspólnego zapasu gminy. Nigdy jednak nie widzi pieniędzy, bo te nie istnieją pomiędzy Shakerami. Sektarze ci zajmują się po największej części rolnictwem, i prowadzą tylko zamienny handel z sąsiedniemi okolicami; suknie sami sobie robią. Jedzą bardzo mało mięsa a piją tylko słabą herbatę i kawę. Resztę ich pożywienia stanowią owoce, jarzyny, chleb i mleko. Celibat zachowują z całą ścisłością: mężczyznom i kobietom wolno stykać się ze sobą tylko przy publicznych objadach i ćwiczeniach religijnych.

— W Paryżu wychodzi 754 gazet codziennych i tygodniowych z których 53 teologicznych, 63 prawnych 10 geograficznych i historycznych, 23 pedagogicznych, 53 literackich, 11 poświęconych malarstwu, 8 architekturze, 5 archeologji, 2 fotografji, 17 muzykalnych, 8 teatralnych, 59 dzienników mód, 78 technologicznych, 69 lekarskich i farmaceutycznych, 61 naukowych, 24 wojennych i morskich, 18 rolniczych; gazet politycznych codziennych wychodzi 37, tygodniowych 11, gazet prowincjonalnych politycznych jest 562, z których 155 na korzyść siedmiolecia Mac-Mahona, 100 legitymistowskich, 81 bonapartystowskich a 226 republikańskich. Gazety republikańskie rozchodzą się codziennie w liczbie 226730 egzemplarzy, wszystkie zaś pozostałe razem wzięte w liczbie 316330.

— Katedra starego angielskiego miasta Albury była niedawno sceną przerażającego zdarzenia. Obłąkany oficer jakiś wdarł się na kazalnicę wołając, że niesie zgromadzeniu poselstwo od Boga. Przyjaciele jego i znajomi powstrzymać go chcieli. Rozdrażniony tem zagroził im bronią palną i sieczną którą miał przy sobie — i zranił nawet jednego z bliskich bardzo ciężko. Jęki rannego wywołały straszliwe zamięszanie; mężczyźni grozili, nie ośmielając się jednak zbliżyć do warjata; wiele kobiet, a pomiędzy niemi księżna Northumberland,—pomdlało, zaledwo zdołano przy tak wielkiem ścisku pospieszyć na ich ratunek. Po wielu usiłowaniach dopiero udało się służbie kościelnej za pomocą długich drągów szaleńca zepchnąć z kazalnicy, opanować go i związawszy mu ręce i nogi, do zakładu obłąkanych odstawić.

— Dziesięcioletni, głęboko uczony Rabin zwraca obecnie w Ameryce powszechną uwagę. Występuje on w rozmaitych synagogach intonując pieśni, modlitwy i każąc. Nazywa się on F. Kauffmann, a przybył przed dwoma laty z rodzicami swemi z zakordonowej Polski do Stanów Zjednoczonych i osiadł w Albany. Pisze on i mówi po niemiecku, angielsku i hebrejsku, i odznacza się przy przewodniczeniu służbie bożej inteligencją, znajomością form wszelkich, zręcznością i pięknym, donośnym głosem. Za nowym tym Danielem tłumy współwyznawców jego idą z miasta do miasta.

— Od kilku lat wszystkie dobroczynne zakłady w Anglji odbierały na gwiazdkę od nieznajomego dawcy po tysiąc funtów szterlingów. W tym roku dopiero wyszło na jaw, kto był tym dyskretnym dobroczyńcą, gdyż zmarł on właśnie, a dziekan, w którego parafji mieszkał, wyjawił tajemnicę. Nazwisko tego przyjaciela ubogich Attwood. Był to 80-letni stary kawaler, który dorobił się miljonowego majątku na handlu szkłem. W ostatnim roku, jak się z pozostałych książek rachunkowych Attwood'a okazało, wydał on na cele dobroczynne 45.000 fst. a w całem swem życiu blisko pół miljona fst. Pozostawił jeszcze majątek 10-miljonowy, a zszedł ze świata bez testamentu.

— W jednym z nowojorskich dzienników ukazało się niedawno następujące ogłoszenie: „Naznaczam pięćset dolarów nagrody. Za co? Oto wynaleziono parowe maszyny które własny dym połykają; ja zaś pragnąłbym wynalezienia przyrządu, któryby umożebnił dziecku przy piersi połykanie własnego wrzasku. Edward Gipson, Maiden Lane, 12, ojciec bliźniąt cztery miesiące mających.“

Odpowiedzi Redakcji.

K. S. w Stanisławowie. Wspomnienia prosimy przysłać, a po przeczytaniu odpowiemy.

Ks. I. K. w Brodach. Odezwa nadto obszerna byśmy ją mogli w całości umieścić. W następnym numerze przytoczymy co najważniejsze.

Treść Nr. 5.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego), pod zarządem Leona Zubalewicza.